- **Story o kapitanie**
- **Trucie rzeki w sądzie**
- **Apetyt na dolary**



EKSPRES REPORTERÓW



- Jerzy Piekarczyk
  Polski amerykański kapitan
- Jakub Kopeć
  Proces wezbrany jak rzeka
- Jan Lewandowski
  Dolary z wałka
- Gwiazda Ekspresu Reporterów
  Kazimierz Koszarski

Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1981

Redaguje zespół
Roman Bratny, Bolesław K. Kowalski
Stefan Kozicki, Aleksander Rowiński

Opracowanie redakcyjne
Hanna Maślankiewicz

Projekt graficzny okładki
Ko Briefjes

Redaktor techniczny
Alina Szubert-Jarosławska

Zdjęcie na IV str. okładki
Jacek Noyszewski

Korektę przeprowadza
drukarnia we własnym zakresie

Jerzy Piekarczyk

POLSKI AMERYKAŃSKI KAPITAN

Codziennie rano narzuca płaszcz kąpielowy i wymyka się ze swego mieszkania przy Collins Avenue. Na wybrzeże jest niedaleko, kilkadziesiąt metrów zaledwie. Plaża o tej porze dnia nie jest jeszcze wypełniona ludźmi. Jeszcze nie ożyły wielkie hotele, ciągnące się kilometrami między morzem i laguną.

Zegar wskazuje szóstą, gdy krępy, siwowłosy mężczyzna siada na krześle. Odwrócony plecami do luksusowych hoteli ma przed sobą tylko ocean. Tutaj jest właśnie „Capitain's corner". Tak nazwali to miejsce ludzie, którzy znają kapitana o obco brzmiącym nazwisku.

Podzwrotnikowe słońce nie jest jeszcze tak dokuczliwe, jak za kilka godzin. Ma zielonawo-błękitny kolor, taki sam jak na pocztówkach zachwalających „Fabulous Miami Beach". Powietrze przepojone zapachem oceanu. Kapitan patrzy na bezmiar wody rozciągający się aż po linię, gdzie błękit Atlantyku zlewa się z błękitem nieba. Czasem pojawi się statek i wtedy siwy mężczyzna śledzi wzrokiem jak płynie dostojnie, aż zniknie za horyzontem. Fale rozbijają się o falochron, a stary człowiek wsłuchując się w ich szum, przymyka oczy i ma uczucie, jakby znów stał na mostku kapitańskim.

*

Działo się we wsi Pomiechowo czternastego (dwudziestego szóstego) grudnia 1880 roku o godzinie dziewiątej rano. Zjawił się osobiście Seweryn Wiesiołowski (Seweryn Wesołowski) pisarz gminny trzydzieści sześć lat wieku w obecności Jana Grochulskiego sługi kościelnego lat czterdzieści pięć i Kazimierza Łukasika ogrodnika czterdziestu lat wieku, obu z Pomiechowa, okazał nam dziecię męskiego rodzaju oświadczając, że urodziło się ono szóstego grudnia roku bieżącego o godzinie siódmej rano od jego ślubnej żony Eugenii Eufemii z domu Osieckiej dwudziestu sześciu lat życia.

Zapis, sporządzony w języku rosyjskim na pożółkłych ze starości kartach ksiąg parafialnych kościoła w Pomiechowie informuje dalej, że nowonarodzonemu nadano imiona Lucjan Mikołaj, co ksiądz i ojciec poświadczyli własnoręcznymi podpisami. Świadkowie pisać nie umieli, postawili krzyżyki.

W dwadzieścia pięć lat od tego dnia, Lucjan Wesołowski przyjechał do Warszawy z dyplomem ukończenia studiów uniwersyteckich w dalekiej Odessie. Miał się ubiegać o posadę profesora gimnazjalnego. Zamiast do gimnazjum trafił do towarzystwa socjalizujących warszawskich studentów. Dalej wydarzenia potoczyły się szybko: udział w rozruchach ulicznych, rana zadana kozacką lancą, Pawiak i bliska perspektywa pójścia śladami ojca, którego za udział w Powstaniu Styczniowym popędzono pod Irkuck.

Do zesłania tym razem nie doszło. Z pomocą przyszedł szwagier; był maszynistą kolejowym, jeździł na trasie Warszawa—Moskwa, miał tak zwane kontakty i majątek niedaleko Kozienic oraz parę domów na Nowym Bródnie. Wyciągnięcie z więzienia kosztowało. Przekupiona władza dała się przekonać, że dalsze przetrzymywania Lucjana Wiesiołowskiego (Wesołowskiego) jest zbyteczne. Na wszelki jed-

nak wypadek zabroniono mu uczenia w gimnazjum, żeby nie demoralizował młodzieży polskiej „nieprawomyślnymi poglądami".

Ojciec doradził synowi dalszą naukę w szkole rolniczej. Myślał praktycznie; chłopak skończy szkołę i będzie mógł zostać zarządcą majątków bogatych ziemian. Lucjan uległ, ale po rocznej nauce w Puławach stwierdził, że do agronomii nie nadaje się zupełnie. Chce być nauczycielem. Obojętnie gdzie i za ile. W ten sposób trafił do Nowej Wsi niedaleko Kozienic. Posada w miejscowej szkółce była słabo płatna, ale zainteresowanie wsi osobą nauczyciela duże. Szczególnie ze strony Jana Giermuda, właściciela 14 morgów. Cieszył się on poważaniem społeczności jako wójt, podczas ważniejszych uroczystości nosił na złotym łańcuchu godło gminy. Wójt był dobrze widziany w parafii, wyróżniał go zaufaniem proboszcz, za którym — jak mówiono we wsi — cały Rzym stoi. Wójt miał córkę, więc i z tego powodu zapraszał młodego nauczyciela na obiady, kolacje. Z czasem pannę do kawalera zaczął posyłać, aby mu w mieszkaniu czyniła porządek. Takie to miłe, praktyczne i obyczajne stosunki panowały naonczas w Nowej Wsi.

Zapoczątkowana cerowaniem skarpet, a uwieńczona weselem znajomość nauczyciela i wójtowej córki, przyjęta została przez całą wieś z ukontentowaniem. Młodzi cieszyli się mniej, gdyż z posady nauczycielskiej pieniądze nie były duże. Ojciec Seweryn poradził, żeby pojechali w Lubelskie; w Chmielniku jest dwuklasowa szkoła, potrzebuje kierownika i dwóch nauczycieli, tymczasem chętnych nie ma, bo wieś deskami zabita. Tam można zdobyć duże pieniądze, pracując za trzech i jeszcze dorobić gospodarstwem przydzielonym nauczycielom.

W Chmielniku do dziś niektórzy ludzie pamiętają

Lucjana Wesołowskiego, który pewnego dnia przyjechał do wsi wraz z żoną. Pamiętają również, jak zimą 1908 roku nauczyciel załadował młodą żonę na furmankę i wyjechali do Nałęczowa, skąd pociąg zawiózł ich do Warszawy, do szwagra Dębickiego. Tego samego, który trzy lata wcześniej uratował młodego „wywrotowca" od uciążliwej wycieczki na Syberię. Ludzie w Chmielniku orientowali się, że ten wyjazd do Warszawy był konieczny, bo Wesołowskim miała się powiększyć rodzina. Nastąpiło to rzeczywiście w ostatnim dniu stycznia. Chrzest odbył się u św. Floriana na Pradze, chłopcu dano imię Stefan. Potem ojciec wrócił do swoich zajęć na wsi. Czekał na żonę, która do Chmielnika przyjechała w marcu razem z dzieckiem.

Wiodło im się dobrze, ale też ciężko pracowali na ten dobrobyt. Lucjan kończył lekcje o czwartej po południu, wieczorem często wysłuchiwał ludzi ze wsi. Przychodzili z tym swoim „napiszcie panie nauczycielu podanie". Wesołowska wstawała o czwartej rano, aby z wynajętą służbą doglądać gospodarstwa. Po kilkudziesięciu latach jej syn, Stefan opowiadając mi historię swego dzieciństwa, przywoła w pamięci widok matki dźwigającej o świcie koryta pełne karmy dla świń i mieszającej pokarm kurom. Skąd w tej drobnej, szczupłej kobiecie o złotym sercu, znalazło się tyle sił? „Dlaczego tak ciężko pracujesz?" — pytał nieraz. Odpowiadała niezmiennie: „Musimy zdobyć pieniądze. Już mamy trzydzieści tysięcy złotych rubli, gdy będziemy mieć jeszcze dwadzieścia, kupimy w Warszawie piękny dom, będziemy mieszkać w tym domu, ojciec wreszcie odpocznie, a ty i twoje rodzeństwo, będziecie mogli chodzić do najlepszych szkół w mieście, bo ja tej wsi mam już powyżej uszu."

Z perspektywy czasu zrozumiał dlaczego wtedy

matka tak dogadzała krewnym i znajomym z Warszawy, gdy na wakacje przyjeżdżali do Chmielnika, dlaczego ich tak gościnnie podejmowała i obdarowywała na wyjazd. Chodziło o wpływowe znajomości tam w mieście, które pozwolą kiedyś osiągnąć ów wymarzony cel. Nie przeczuwała, że się nie spełni nigdy. Ojciec obserwował to wszystko i milczał pogrążony w swoich myślach i swoich sprawach.

Często do Chmielnika przyjeżdżał dziadek Seweryn z podsandomierskiego Osieka. Kiedy zaczynały się wspominki rodzinne, pogawędki o przeszłości, o powstaniach, matka Stefana korzystając z okazji, nalegała na teścia: „Niechże ojciec wpłynie na Lucjana, żeby od socjalistów odstąpił, głową muru nie przebije. — Ojciec — perswadowała — tyle się namęczył, cała rodzina straciła wszystko na tej polityce, mało nam jeszcze?"

Stary odwoływał się wtedy niezmiennie do patriotycznej tradycji pokoleniowej. „Twój mąż, a mój syn — mówił z patosem — powinien iść śladem ojców, bo inaczej nasz kraj nigdy wolności nie odzyska." Ona nie dawała za wygraną: „To co robi Lucjan, to też patriotyzm; praca w szkole, uczenie dzieci polskiej mowy i historii, pomaganie miejscowym uniknąć służby w carskim wojsku. Czy to nie wystarczy? Czy musi się znowu wikłać w politykę, gdy ludzie przebąkują, że się jakieś nowe powstanie szykuje?"

Wkrótce przyszedł rok 1914, gospodarstwo i szkoła w Chmielniku poszły z dymem w trakcie działań wojennych. Rozwiały się marzenia matki o pięknym domu w Warszawie. Z całego majątku pozostało Wesołowskim pięcioro głodnych dzieci, z którymi wracać musieli w rodzinne strony. Opowieści dziadka Seweryna, a może właśnie ciężka sytuacja w domu rodzinnym sprawiły, że w kilka lat później, je-

denastoletni Stefan wkręci się do pułku stacjonującego na błoniach pod Kozienicami i pójdzie z wojskiem, zaczynając rozdziały swego barwnego życia.

*

Przeglądam zdjęcia z albumu rodzinnego Stefana Wesołowskiego.

Pierwsze jest portretem sędziwego już mężczyzny o białych włosach, ubranego w zdobiony galonem, lecz mocno podniszczony mundur z 1863 roku. Z tym mundurem Seweryn Wesołowski nie rozstał się do końca życia. Kiedy zmarł, pochowano go na cmentarzu w Osieku, nagrobek ozdobiono tą właśnie fotografią.

Na innym zdjęciu postać niewysokiego mężczyzny o szczupłej twarzy, w mocno sfatygowanym płaszczu i okrągłej czapce — niewiele odbiega od ubogiego wyglądu grupy uczniów z wiejskiej szkółki. Zdjęcie Lucjana wykonano w 1915 roku. Tylko o rok przeżył swego ojca, ale nie doczekał się tak sędziwego wieku. Rana od lancy kozackiej, otrzymana w bok podczas rozruchów w 1905 roku, goiła się i odnawiała na przemian. W dwadzieścia lat później nastąpiło gwałtowne pogorszenie zdrowia, rana zaczęła ropieć, wywiązała się próchnica żeber, zakażenie. Szpital w Kozienicach był ostatnim etapem życia 42-letniego niedoszłego profesora gimnazjalnego. Pochowano go na kozienickim cmentarzu. Z biegiem lat grób porosły trawą przekopano i nikt nie pamięta gdzie jego miejsce.

Kolejna fotografia przedstawia małego chłopca w wojskowym, za długim szynelu i zawadiacko przekrzywionej na czoło furażerce. Lewą ręką podciąga przytroczoną do pasa, zbyt długą pochwę szabli — oręż dzierży w prawej ręce. Spojrzenie ma pewne, szelmowskie. Chłopiec nazywa się Stefan Wesołow-

ski. Ma 12 lat. Ta fotografia jest pamiątką po powstaniu śląskim, które właśnie dobiegło końca. W ten mundur Stefan zaopatrzył się w Kozienicach, gdzie po rozbrojeniu Niemców stanęła brygada Legionów.

Zanotujmy jednak wydarzenia chronologicznie: Stefan uciekł z domu od nędzy i chorób. Trafił na obóz wojskowy, głodny kręcił się wokół wojskowej kuchni. Stojąc za drzewem usłyszał jak oficer instruował kucharza, że po wojnie dużo tutejszych dzieci zostało bez rodziców więc spotkane sieroty trzeba otoczyć opieką — znaczy: odżywić i odziać. Taki rozkaz. Niebawem kucharz dostrzegł za drzewem drobną, mizernie wyglądającą sylwetkę. „Skąd się wziąłeś? — zapytał. Mały odpowiedział, że jest sierotą, wiedząc, co za to może otrzymać. Kucharz rzeczywiście zaopiekował się chłopcem — wziął go do pomocy.

Wkrótce wojsko załadowano do wagonów, a razem z kuchnią polową również małego pomocnika kucharza. Wkrótce dostał karabinek artyleryjski — swą pierwszą, prawdziwą broń. W czasie bitwy o jakiś cmentarz po raz pierwszy strzelił do człowieka. Nie celował, wcale go nie widział. Ujrzał tylko rękę wyciągniętą zza nagrobka, ręka trzymała granat, który za chwilę miał być rzucony w jego stronę. Trafił tylko w tę rękę. Nie spostrzegł nawet twarzy tamtego człowieka, ani nie usłyszał jego krzyku, zagłuszonego eksplozją rozrywającego się granatu. To była pierwsza śmierć, którą zobaczył bezpośrednio. Wcześniej oglądał rozerwane brzuchy, rozbebeszone wnętrzności i pokaleczone twarze, ale to nie było to samo. Ta śmierć była pierwszą, do której sam się przyczynił. Wtedy pojął, że na wojnie trzeba zabijać, aby samemu nie zostać zabitym.

To był chrzest chłopca — pierwszy czyn, z którego rozgrzesza wojna.

W kwietniu 1921 roku znalazł się z wojskiem na Wileńszczyźnie. Następowała demobilizacja. Na początku maja, któryś ze starszych kolegów spojrzał do gazety i powiedział: „Bijemy się teraz z Niemcami o polski Śląsk. Pojedziesz z nami Stefan?"

Nie bardzo jeszcze wiedział o co właściwie chodzi w tym powstaniu, ale jednego był pewien: do domu wracać nie miał najmniejszej ochoty. Nie wiedział, czego miałby bać się więcej — głodu czy lania. Zabrał się więc wraz z grupą ochotników. Z zaświadczeniami zwolnienia ze służby wojskowej stawili się w punkcie zbornym w Warszawie. Skierowano ich do Sosnowca. W tamtejszych koszarach zbierali się wszyscy ci, którzy chcieli walczyć w powstaniu. Mieli się zameldować w dowództwie powstańczym w Szopienicach. Najpierw należało jednak przejść granicę, obstawioną wojskami koalicyjnymi. Starsi koledzy Stefana pokonali wpław niewielką rzeczkę i byli już po drugiej stronie, on bał się wody, powiedział, że pójdzie drogą. Nie przejdziesz mały — ostrzegali. Patrzył z brzegu jak znikali w szuwarach, wreszcie zawrócił i poszedł w stronę drogi wiodącej do Szopienic. Pilnujący granicznego przejścia żołnierz francuski rozmawiał właśnie z jakimś siedzącym na furze chłopem; odwrócony tyłem nie widział malca, który zbliżał się do granicy uważnie obserwując rozmawiających. Ożywione gesty świadczyły, że nie bardzo tamci dwaj mogą się porozumieć ze sobą. Chłopak minął szlaban i szedł dalej, obserwując przez ramię żołnierza. Oddalił się o kilkadziesiąt metrów, gdy tamten się odwrócił. W tym samym momencie zwrot wykonał również chłopiec. Wyglądało teraz jakby zdążał w kierunku Polski. Żołnierz zaczął machać rękami; nakazywał

zawracać, nie wolno przechodzić granicy. Mały jakby na to czekał. Zawrócił i już ile sił w nogach pognał w stronę Szopienic.

Dowództwo mieściło się w budynku szkoły. Poszukasz takiego domu z czerwonej cegły — chłopak przypomniał sobie słowa kolegów. Przedstawił się, zameldował swoje przybycie. Podśmiewali się pod wąsem, patrząc na niewiele od ziemi odrosłego brzdąca, który mówił, że jest sierotą, a dokumenty stwierdzały, że wąchał już proch. Dali mu biało-czerwoną opaskę na rękaw. Został gońcem. Zaczął krążyć z pismami z jednej kancelarii do drugiej, z dowództwa do jakiegoś tam pułku czy koszar. Dobrze mu szło. Chwalili. Wkrótce uznali, że ma dość sprytu i przydzielili Stefana do „oddziału destrukcyjnego". Oddział liczył dziesięciu, może piętnastu ludzi. To była grupa dywersyjna. Chłopca zrobili wywiadowcą. Co pewien czas, niby to pasąc krowy, zapuszczał się na stronę niemiecką, aby po powrocie informować dowództwo o rozmieszczeniu artyleryjskich gniazd nieprzyjaciela. Gdy miał trudności z wytłumaczeniem, wchodził na wierzchołek drzewa lub na strych domu, skąd podawał odległość i kierunek, aby strzelano celnie. Zabierali go potem na tyły, aby przeciwnik nie przejrzał, jaką rolę odgrywa niepozorny pasterz. Z czasem powierzono Stefanowi bardziej emocjonujące zadania; miał zakładać pod szynami kolejowymi ładunki wybuchowe. W ten sposób wpisał na swe konto dwa pociągi pancerne. To było gdzieś w rejonie Mysłowic, ale wtedy nazwy miejscowości go nie interesowały.

Chciał iść na pierwszą linię, ale nie pozwalali. Nie lubił siebie odzianego w liche ubranie, jakie nosił każdy inny spotykany chłopiec. Nie znosił, gdy wspominali mu wiek i odsyłali za linię frontu, gdy trwały działania wojskowe.

Raz powrócił do okopów. Ruszało natarcie. Gdy spostrzegł jak pada taśmowy z obsługi ckm, a dwaj pozostali nie mogą sobie poradzić z ciężką skrzynką pełną amunicji, wyskoczył z okopu i pomógł tamtym zataszczyć ciężar na stanowisko. Wtedy dostał postrzał w nogę i już niczego więcej nie zapamiętał. Przytomność odzyskał dopiero w szpitalu wojskowym w Szopienicach, dokąd przywieziono go furmanką.

Gdy mógł już chodzić o własnych siłach, powstanie dobiegało kresu. Znowu wrócił do sosnowieckich koszar. Któregoś dnia odwiedził z kolegami atelier miejscowego fotografa. Leżały tam niemieckie hełmy, oficerskie mundury, tekturowe tło przedstawiało jeźdźca na spienionym koniu. W miejscu gdzie głowa jeźdźca, wycięty był otwór. Zapytali grzebiąc w rekwizytach: „Kim chcesz być Stefan?" — Huzarem — odparł z powagą. Włożyli mu furażerkę z orłem na głowę, odziali w płaszcz. „Uważaj, żebyś się nie potknął — zauważyli ze śmiechem, przypasując mu szablę do boku. Fotograf zniknął na chwilę pod czarną płachtą...

Zdjęcie jest pamiątką z tamtych lat. To zdjęcie oraz Krzyż Walecznych i odznaczenia powstańcze, do których z czasem dojdzie Krzyż i Medal Niepodległości.

W Sosnowcu przesiedzieli dziesięć dni. Później zaczęły się rozmowy nad celem dalszej podróży. Nie wszystkim było pilno do domu. Najmniej Stefanowi. Ktoś powiedział: „Jedziemy nad morze." — Co to morze? — spytał. — „To taka ogromna woda Stefek, drugiego brzegu nie widać. Pływają po niej wielkie statki. Jak dostaniesz pracę na jednym z nich, to możesz płynąć do różnych krajów na całym świecie."

Słuchał z niedowierzaniem. Nic nie wiedział o morzu.

Pobrali żołd w markach niemieckich. Do dokumentów podróży wpisano im: Wejherowo. Więcej się znalazło takich, którym pilno było się wybrać w szeroki świat.

„Jak przejedziemy Gdańsk i znajdziemy się po polskiej stronie, to już może nie warto jechać do tego tam Wejherowa, tylko przez zieloną granicę dostać się na powrót do Gdańska" — rozważali.

„Można też wysiąść w samym Gdańsku. Gdy pociąg wjedzie na stację, to od strony peronu wielki ruch, ale po drugiej stronie — spokój. Trzeba tylko otworzyć drzwi, a gdy zamknięte wyjść przez okno i uciekać w kierunku skąd pociąg przyjechał."

Sześciu na gdańskim dworcu zastosowało się do tych rad. Mały Stefan dołączył do nich również. W dzień wałęsali się po mieście szukając pracy, noce spędzali w stogach siana. Po kilku dniach każdy z nich zdecydował się na powrót w swoje strony. Stefan pozostał na miejscu. Pożegnał kolegów na dworcu i zapuścił się znowu w nieznane miasto.

Na jednym z placów przesylabizował napis „Bracia Leszczyńscy — spółka okrętowa". Stał przez kilkanaście minut zapatrzony w ten polski szyld nie wierząc oczom. W końcu zebrał się w sobie i wszedł do biura. Dziewczyna przy biurku zapytała go po niemiecku, czego chce. Odparł po polsku, więc również ona zaczęła podobnie, tylko jakoś twardo, z obcym akcentem, innym, niż jego polszczyzna z Kongresówki. Powiedział kim jest. Wyszła na chwilę, aby wrócić z pięćdziesięcioparoletnim, otyłym jegomościem o jowialnym wyrazie twarzy. To był jeden z właścicieli firmy — Antoni. Spojrzał na małego gościa. „Zaczekaj" — powiedział. Zniknął na

moment za drzwiami i przyprowadził jakiegoś wysokiego wąsacza. Usiedli. „Mów coś za jeden".

Stefan zaczął opowiadać o sobie, do prawdy o powstaniu dodając wypróbowane już prywatne kłamstwo o braku rodziców.

„Niemców biłeś?" — odezwał się wysoki. „Biłem". To dobrze. „Masz jakieś papiery?" Pokazał. „Byłeś ranny?" — wąsacz uniósł brwi zdziwiony. Nie bardzo widać wierzył, bo kazał spuścić portki i pokazać bliznę.

Za pół godziny przyszedł do biura mężczyzna w zabrudzonym smarami ubraniu, zamienił parę słów z sekretarką i wdał się w rozmowę z Leszczyńskim, rzucając co chwilę spojrzenia na chłopca. Za chwilę Stefan wiedział już, że ten co przybył nazywa się Paul Pałubicki, pracuje jako ślusarz w warsztatach stoczni, a u braci Leszczyńskich dorabia, gdy ma wolną sobotę lub niedzielę, pływając w sezonie na wycieczkowym stateczku „Abdank" do Orłowa i na Hel.

Chłopca powierzono Paulowi. Obaj udali się w stronę Motławy. Wycieczkowe stateczki stały przy nabrzeżu. Sezon dobiegał końca, choć słońce grzało jeszcze mocno. Gdy stanęli przy „Abdanku" Paul wszedł na pokład, otworzył kabinę, wyciągnął jakiś materac i rozłożył go na ławkach dla pasażerów. Tu będziesz spał — powiedział. Pokazał, gdzie kotłownia, gdzie woda do picia. „Ten żelazny piecyk na środku rozpal, gdy zmarzniesz i pilnuj, aby ktoś cumy nie odciął."

W niedzielę Pałubicki zabrał Stefana do swego domu, aby rodzinie pokazać Polaka z Kongresówki. Miał syna Antoniego, córki Joannę i Trudę oraz żonę „piękną kobietę o wielkim sercu" — jak nazwie ją po latach kapitan Wesołowski. Dzieci patrzyły na niego jak na przybysza z innego świata. Pałubicka

kazała mu usiąść. „Zjesz coś — powiedziała — może koszula z Antka się nada, marynarka również powinna pasować." — Co też pani, nie trzeba — próbował oponować. „Nie gadaj, przymierz. Ojca i matki nie masz, kto się tobą ma zająć?"

Miał łzy w oczach. Był zły na siebie, że musiał im nakłamać o swoim sieroctwie, ale nie było innego wyjścia. Przyrzekł sobie tylko w duchu, że kiedyś tę całą prawdę wyjawi. To „kiedyś" było na razie umieszczone w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości.

Wieczorem Paul odprowadził go na statek. Tak było przez tydzień, ale w poniedziałek, w porze obiadowej przybiegł Pałubicki i powiedział Stefanowi: „Pakuj się, jedziemy do Nowego Portu". Chłopak nie miał wiele do zabierania, tyle co na sobie. Gdy byli na miejscu, Paul pokazał mu „Gazolinę" — dwumasztowy statek, który mógł pływać pod żaglem i na motor. Poprzedni właściciel chciał się go pozbyć, Leszczyńscy zdecydowali się na kupno. „Trzeba tutaj zrobić porządek, bo wkrótce przyjdzie inspekcja" — powiedział Paul.

Po dwóch dniach zjawiła się reszta załogi. Trzech Rosjan, jeszcze z carskiego wojska; wzięci do niewoli pracowali w pobliżu Gdańska u bauera, pożenili się, zostali. Jeden był kucharzem, drugi mechanikiem, trzeci znał parę języków obcych, więc się mógł okazać przydatny, gdy przyjdzie dogadać się w którymś z bałtyckich portów w sprawie powrotnego frachtu.

Kapitanem został gdańszczanin Otto Went. Przy nim Stefan nauczył się obsługiwać kompas, wiązać węzły, poznał czemu służy ster i jak stawia się żagle. Przygotowania trwały kilka dni. Najgorzej szło z motorem, majstrowali przy nim całymi godzinami. Uruchamiali — zaczynał chodzić... ale po chwili

krztusił się, coś w nim stukało, wreszcie stawał i trzeba było całą robotę zaczynać od nowa. W końcu udało się go ożywić na dobre. Kiedy statek był gotowy przyszedł przedstawiciel towarzystwa asekuracyjnego, razem z nim obaj Leszczyńscy oraz dyrektor urzędu marynarki handlowej przy polskim konsulacie.

„Gazolina" miała pływać pod polską banderą.

Powiedzieli Stefanowi: „To będzie chłopcze, pierwszy statek polskiej marynarki handlowej..."

Na razie nie mieli bandery. Ta, którą Leszczyński przyniósł ze stojącego w stoczni ORP „Podhalanin", nie pasowała do handlowej łajby, gdyż miała trójkątne wcięcie charakterystyczne dla marynarki wojennej. Dokupili płótna. Stefan zszył jak umiał — przez pół dnia zmagał się z oporną materią, aż wreszcie udało mu się uzyskać czworokątną banderę. Kapitan objaśnił jak się ją wiąże i wciąga na maszt. Gdy komisja po obejrzeniu statku orzekła, że wszystko w porządku, Went zezwolił chłopcu na podniesienie bandery. Zatrzepotała na wietrze aż kapitan zawołał zaniepokojony: „Sciągnij ją, bo się nam jeszcze rozleci."

Odbyli kilka rejsów do portów bałtyckich, wreszcie motor nawalił ostatecznie, a Leszczyńscy, nie mając pieniędzy na remont sprzedali „Gazolinę" Państwowym Zakładom Naftowym.

Następne zdjęcie zachowane w albumie rodzinnym Wesołowskiego. Zrobił je przygodny fotograf w ostatnim dniu gdy załoga „Gazoliny" oczekiwała na wypłatę. Kapitan siedzi ze swoim czarnym psem na beczce po nafcie, Stefan na ziemi — mieści się niemal cały w kole ratunkowym, które mu założyli na głowę. Jeden ze stojących, bardziej elegancki, bo w dwurzędowej marynarce i krawacie, to Pomorza-

nim Aleksander Górny; pływał na niemieckich żaglowcach, potem wstąpił do polskiej marynarki wojennej, ale wdał się w awanturę z jakimś kadetem, wyrżnął go w gębę i został bez pracy. Zgłosił się w biurze Leszczyńskich bez grosza przy duszy. Na pokładzie „Gazoliny" zjawił się niemal w ostatniej chwili, gdy statek szykował się do wyjścia w morze. Poza kapitanem był to jedyny marynarz z prawdziwego zdarzenia na tym statku.

*

Stefan nie zdążył się jeszcze rozsmakować morzem, gdy znalazł się znów na lądzie. Wiedział tylko, że nie ma pieniędzy, a powrót do domu nie jest wyjściem z całej sytuacji. Gdyby nie obecność w Gdańsku przyjaźnie usposobionej rodziny Pałubickich, nie wiadomo jak potoczyłyby się jego dalsze losy. Znów mu przyszedł z pomocą Paul. W trakcie rozmowy wspomniał o polskiej flocie wojennej. Jak się tam dostać? — chłopiec podchwycił temat. „Zrobimy tak — powiedział Paul. Dam ci paczkę, udawaj żeś mój pomocnik i idziemy razem do warsztatów. Mnie znają to i ciebie nie zaczepią."
Świtem przeszli przez bramę stoczni.

Stefan włóczył się długo po nabrzeżu oglądając polskie okręty, zanim podszedł do trapu stojącego najbliżej „Podhalanina". Rosły marynarz pilnował wejścia. „Skąd jesteś?" — zapytał chłopca. Stefan zaczął recytować swój życiorys, obserwując spod oka reakcję marynarza. Aby udowodnić, że nie łże, pokazał książeczkę żeglarską z „Gazoliny". „Poczekaj chwilę" — powiedział wachtowy. Wszedł po trapie na pokład i na pewien czas zniknął chłopcu z oczu. Wreszcie wrócił i kazał iść za sobą.

Przed obliczem kapitana Stefan raz jeszcze powtórzył swoją historię. Pierwszy rozkaz dowódcy,

jaki padł w jego stronę, był bardzo lakoniczny: „Dać chłopcu jeść."

Przez następne trzy lub cztery dni wszyscy się zastanawiali, co począć dalej z niecodziennym pasażerem. Na razie sprzątał on messę, skrobał kartofle i zmywał naczynia. W końcu jeden z oficerów zapytał wprost dowódcę, co dalej zamierza. Ten myślał chwilę. „Dajcie jego papiery" — powiedział. Ponownie obejrzał dokumenty Stefana, kazał sporządzić odbitki i wysłać do ministerstwa z prośbą o przyjęcie do marynarki. Napisali gdzie był i w jakim wojsku, napisali o Krzyżu Walecznym i powstańczych odznaczeniach, tylko o dacie urodzenia delikwenta przezornie nie wspomniano ani słowem.

Przez następne dni Stefan oczekiwał odpowiedzi, którą miał otrzymać na gdański adres Pałubickich. Któregoś przedpołudnia zobaczył Antka. Syn Pałubickiego stał za bramą stoczni i wołał do Stefana: „Pośpiesz się, bo jakiś list z Warszawy przysłali i ojciec nie bardzo wie o co chodzi."

Pismo było urzędowe. Stefan mozolnie składał słowa, z których wynikało, że został przyjęty do marynarki w stopniu mata. Ten stopień przyznano mu za dotychczasowe zasługi. Pognał na okręt pokazać pismo dowódcy. Gratulowali chłopcu śmiejąc się serdecznie. Z pisma wynikało dalej, że mat Wesołowski ma się zameldować w szefostwie marynarki wojennej w Toruniu. Zdumienie było kompletne, gdy się tam pojawił. Żaden mundur na niego nie pasował, trzeba było przerabiać.

„Co chcesz robić" — spytano dwunastolatka.

— Chciałbym zobaczyć jak najwięcej — odparł pomny opowieści o dalekich lądach i morzach.

„Będziesz się uczył na sygnalistę — usłyszał — z mostku zobaczysz najwięcej."

Wysłano go do koszar w Pucku, gdzie mieściła się

szkoła dla sygnalistów. Dwa miesiące się uczył. „Semafor" opanował całkiem nieźle. Machanie chorągiewkami sygnalizacyjnymi sprawiało mu nawet przyjemność. Kiedy wiosną 1922 roku polskie okręty wyszły na redę, gdy dla utrzymania z nimi łączności wybudowano punkt obserwacyjny między wsiami Gdynia i Oksywie, a nikt z podoficerów nie kwapił się jechać na to pustkowie na ochotnika, bosmanmat Cichosz zaczął mu perswadować: „Stefan, dlaczego ty się nie zgłosisz? Będziesz dowódcą, będziesz sobie mógł machać chorągiewkami ile zechcesz, dobre żarcie dostaniesz, pobiegasz sobie do woli, po co będziesz w koszarach siedział?"

Chłopiec miał wątpliwości czy sprosta obowiązkom. „Nie martw się, będziesz miał ze sobą jeszcze kilku dobrych sygnalistów. Pomogą."

Parterowy barak i wznosząca się nad nim na drewnianych słupach wieża obserwacyjna stały niedaleko morza, służąc utrzymaniu łączności wzrokowej i telefonicznej przez Rumię z dowództwem floty w Pucku i komisją gospodarczą w Wejherowie.

Zdjęcie z tamtego okresu: otoczony dziewięcioma marynarzami, krótko ostrzyżony chłopiec o okrągłej twarzy, w mundurze z naszywkami mata, dumnie wypina pierś z Krzyżem Walecznych, wspierając się lewym łokciem o kolano starszego kolegi.

Po prawie sześćdziesięciu latach kapitan Wesołowski wodzi palcem po tej fotografii, szukając w pamięci nazwisk i dalszych losów swoich ówczesnych kolegów. Kto był z nim wtedy? Lubuśko, Ostrowski. Ten na fotografii stojący obok, zatonął z okrętem podczas wojny, Sobieraja rozstrzelali Niemcy, Szurmiński ma dziś 78 lat i mieszka w Ameryce. Nowak, który zmarł już po wojnie, latem 1922 roku pomagał mu dźwigać worek z ekwipunkiem gdy jechali do Gdyni, gdzie pociąg za-

trzymywał się lub nie, zależnie czy chcieli tego pasażerowie. Budowę portu dopiero rozpoczynano, zaś do punktu obserwacyjnego, gdzie mat Wesołowski spędzić miał kilka następnych miesięcy, dojeżdżało się furmanką.

W 1923 roku skierowano Wesołowskiego do szkoły Specjalistów Morskich w Świeciu na kurs podoficerski sygnalistów. Ukończył ten kurs, wrócił na pokład okrętów wojennych. Pływał do 1928 roku, w którym rozpoczęto przygotowywać załogi dla budujących się w Cherbourgu niszczycieli „Wicher" i „Burza" Te właśnie załogi należało przeszkolić w obsłudze nowoczesnych dalmierzy, z którymi mieli się zetknąć marynarze na nowych okrętach. Wesołowskiego wraz z Wacławem Tomaszkiem, po wnikliwych badaniach, które miały wyłonić osoby o najlepszym wzroku, skierowano na kurs dalmierzystów do Francji. Popłynęli w grupie innych marynarzy, którzy z kolei w Tulonie mieli się zapoznać z techniką obsługi łodzi podwodnych. Nieco później do Tulonu dojechał również Wesołowski, aby w ramach rozpoczętego w Cherbourgu szkolenia, odbyć staż na francuskim niszczycielu „Fortune", a następnie w paryskiej fabryce produkującej dalmierze pogłębić swą wiedzę o tych urządzeniach. Po powrocie do kraju wiedział wystarczająco dużo, aby szkolić przyszłych dalmierzystów. Jego służba w marynarce wojennej dobiegała końca. Zwolnił się z niej mając 21 lat. Od tego czasu rozpoczął żywot marynarza floty handlowej.

Tak minęły kolejne lata. Tymczasem o jego istnieniu dowiedziała się rodzina. Pewnego dnia w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" kuzyn z Warszawy przeczytał informację o pierwszym od dziesięciu lat zjeździe powstańców górnośląskich. Reporter pisał o młodym marynarzu, a niedawno

jeszcze biorącym udział w powstaniu małym bohaterze, który nie bał się wroga.

Wiadomość, że Stefan żyje trafia w rodzinne strony. Młodsze rodzeństwo od tej pory może już liczyć na starszego brata. Będzie im pomagał w miarę jak i jego życie zacznie się powoli stabilizować. Nie jest to jeszcze stabilizacja zupełna. Nadal pływa na statkach. W przerwie między jednym a drugim rejsem zaręcza się. W rejsie dowiaduje się o chorobie i śmierci narzeczonej. Mimo to dom jej rodziców pozostaje miejscem, gdzie kieruje swe kroki ilekroć statek zawita do gdyńskiego portu. W tym domu jest jeszcze druga córka, która jednak nie przejawia większego zainteresowania niedoszłym mężem swej zmarłej siostry. Jego intryguje ta obojętność, a nawet pewnego rodzaju niechęć, której dziewczyna przed nim nie skrywa. Podczas kolejnego pobytu w zaprzyjaźnionym domu, prosi ją o pomoc w zorganizowaniu przyjęcia ślubnego. — Żenię się niebawem — wyjaśnia i czeka na reakcję. Nie ma reakcji. — Twarda sztuka — myśli. Do końca nie mówi, kogo sobie upatrzył na żonę. Dopiero w przededniu wyznaczonej daty, oświadcza bez większych ceregieli, że ona jest właśnie tą osobą, którą chce zaprowadzić przed ołtarz.

Po wielu latach Antonina Wesołowska wspomina z rozbawieniem ów rok, w którym marynarz o dosyć oryginalnym sposobie bycia, poprowadził ją przed ołtarz kościółka przy ulicy Świętojańskiej w Gdyni. „Było to wszystko tak szalone, jego oświadczyny były wypowiedziane z taką pewnością siebie, z taką otwartością, że zupełnie straciłam głowę."

Pierwszy syn Zdzisław przyszedł na świat w 1935 roku — w niecałe dwa lata później, kiedy urodził

się Jeremi, jego ojciec był już dyplomowanym szyprem I klasy.

Szyper Wesołowski chcąc być bliżej rodziny, poprosił o przeniesienie na ląd i podjął pracę w Urzędzie Morskim. Niebawem można go było ujrzeć jak kieruje niektórymi robotami przy budowie portu we Władysławowie.

Gdynia stała się oknem na świat dla całej rodziny, także tej z odległych Kozienic. Stefan sprowadził tu siostry, którym załatwił posady kasjerek. Bratu Romanowi pomógł otrzymać pracę na statku — słał pieniądze na naukę dla najmłodszego, Zbyszka. Do pracy w stoczni ściągnął wielu ludzi z rodzinnych stron. Stryj z Osieka przysłał mu Bogusława, młodszego o lat dziesięć kuzyna, który za wszelką cenę chciał iść śladami Stefana i zostać szyprem, jak on. Na razie zaczął pływać na transatlantyku „Polonia". Na fotografii z tamtego okresu, siedzi półnagi na rufie statku, wsparty o koło ratunkowe. Za plecami ma już tylko bezmiar morza. Pragnął właśnie takiego zdjęcia na tle „wielkiej wody".

Wojna zaczęła się dla mata rezerwy Stefana Wesołowskiego już 24 sierpnia 1939 roku, kiedy wszedł na pokład ORP „Błyskawica" z kartą mobilizacyjną.

30 sierpnia, tuż przed pierwszą w południe, z wieży sygnalizacyjnej nadano: „Wykonać Pekin" — sygnał do wyjścia w morze. Celem była Anglia. O 14,15 okręt odrzucił cumę, kotwica szła wolno w górę, odrywając się od dna polskiego morza, a niedawny jeszcze rezerwista, na rozkaz dowódcy dywizjonu wychodzących w morze niszczycieli, nadał semaforem do zostającego w porcie ORP „Wicher" pożegnalne „Szczęść Boże ku chwale ojczyzny".

Wypływali powoli formując szyk. Pierwsza pły-

nęła „Błyskawica", za nią zdążały „Grom" i „Burza". Po pół godzinie zwiększyli prędkość do maksymalnej, kierując się przez Skagerrak na Morze Północne.

W pierwszym dniu września w południe, gdy na polskim wybrzeżu pociski wgniatały w ziemię broniących Oksywia i Helu marynarzy, trzy polskie niszczyciele spotkały okręty brytyjskie i w ich towarzystwie dopłynęły wieczorem do Edynburga. W życiu Wesołowskiego otwierał się trzeci rozdział. Miał być on zapisany tylko w części pod biało-czerwoną banderą.

*

Po parodniowym pobycie w Edynburgu, „Błyskawica" i dwa pozostałe niszczyciele, rozpoczynają swą wojenną służbę. Pierwsze rejsy do brytyjskiej bazy wojennej Scapa Flow, potem przez La Manche do Portsmouth, Liverpool, Gibraltaru i z powrotem do Wielkiej Brytanii. Bezkresna przestrzeń morska, wyzwalająca uczucie swobody, przez najbliższe lata stanie się przedsionkiem piekła. Śmierć od tej pory czai się wszędzie. Zapowiada ją z nieba ryk pikujących samolotów z czarnymi krzyżami na skrzydłach i wynurzający się nagle z wody ruchliwy peryskop — zapowiedź śmierci szerzonej przez nieprzyjacielskie łodzie podwodne. Prysły nadzieje na rychły koniec wojny.

Niemcy zajmują Francję, lądują w Norwegii, morze wokół wysp brytyjskich staje się coraz groźniejsze dla okrętów i dla marynarzy. Spowity dymami Narvik. Zacięta walka, której ofiary pochłania morze. Na dno idzie „Grom". Dla załogi „Błyskawicy" to mocny wstrząs, który potęguje zawziętość. Trzeba przetrwać za wszelką cenę. Zrzucane przez niemieckich lotników bomby padają coraz bli-

żej. Naloty nie słabną. Morze gasi płomienie, ale woda w fiordzie Romoaken wcale się od nich nie staje cieplejsza.

„Błyskawica" wyszła cało z tamtej walki, lecz pociski nie oszczędziły załogi. Odłamek bomby rozpryskowej dosięgnął również Wesołowskiego. Po opuszczeniu szpitala w Plymouth nie wraca już na „Błyskawicę". Po wyleczeniu kontuzji kręgosłupa zostaje przydzielony na francuski patrolowiec „Chasseur XV", który po zajęciu Dunkierki znalazł się po drugiej stronie kanału La Manche. Pływają wzdłuż wybrzeża od Plymouth po Dover. Załoga niewielka, okręt uzbrojony dobrze, służba spokojna, ale to tylko pozorny spokój. Kilka podobnych okrętów wyleciało już w powietrze na minach. Emila Mołczyka, którego Wesołowski pamięta jeszcze z powstania śląskiego, wyłowiono zupełnie nagiego pływającego na kole ratunkowym. Odpoczywał po wachcie, gdy torpeda trafiła okręt.

Po kilku miesiącach „Chasseur" zostaje obsadzony francuskimi marynarzami. Załogi polskich okrętów wojennych uzupełnia nowy rocznik. Powołani do służby wojskowej rezerwiści mogą wstąpić do floty handlowej. Zaświadczenie wydane 6 sierpnia 1941 roku w Plymouth przez Aliens Registration Departament stwierdza, że 32-letni „Oficer Merchant Service Stefan Wesołowski" zostaje zwolniony z pełnymi honorami ze służby w polskiej marynarce wojennej".

Znowu powraca — jak przed wojną — na statek handlowy. Ale są to już inne czasy. Wojna jest wszędzie. MS „Lechistan", na którym zostaje radiotelegrafistą, pływa w konwojach między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią. Przy radiostacji Wesołowski wsłuchuje się w sygnały dochodzące z torpedowanych statków, wie o każdym zatonięciu,

wie o żniwie jakie zbierają niemieckie Ubooty. Płyną dni w ciągłym napięciu i noce rozjaśnione eksplozjami i pożarem. Eter wypełniają już nie tyle wołania o ratunek, lecz nadbiegające zewsząd informacje, w których załogi trafionych statków ostrzegają innych o niebezpiecznych miejscach.

Każdy się boi. Na morzu nie ma uczucia odwagi, jest tylko mniejszy lub większy strach, który trzeba opanować. Obecność torped dostrzeganą często dopiero wówczas, gdy wybuchają wielkim fajerwerkiem na burcie najbliższego statku. Tygodnie ze świadomością, że ktoś pod wodą ma cię na celowniku, że gdzieś, tuż pod powierzchnią morza sunie obłe, stalowe cygaro, które już za chwilę może zdziesiątkować ludzi. Wieczne napięcie. Mocna kawa, aby nie zasnąć i kilka paczek papierosów wypalanych dziennie, aby uspokoić nerwy.

Służbę w konwojach przerywa Wesołowskiemu nagłe pogorszenie zdrowia. Zatrzymuje się w Nowym Jorku aby podleczyć dokuczliwy ischias. Po kilkutygodniowej kuracji znowu jest „fit for duty". Lekarskie zaświadczenie o zdolności do służby czynnej na morzu pokazuje urzędnikowi nowojorskiego przedstawicielstwa „Gdynia—America Shiping Lines", prosząc o skierowanie na polski statek. Agent pokazuje tylko ręką rząd siedzących w poczekalni marynarzy. Dla nich również zabrakło miejsc. „Mamy chętnych, starszych nawet od pana, ale brakuje okrętów" — mówi. Radzi, aby się udał do War Shiping Administration. W amerykańskiej flocie łatwiej znajdzie pracę. „Ma pan prawo pracować pod każdą banderą, bo od drugiego dnia wojny urzędnicy państwowi zostali bezpłatnie i bezterminowo urlopowani. Pan również, jako pracownik Urzędu Morskiego." — Nie wiedziałem o tym — mówi Wesołowski.

„Skąd pan mógł wiedzieć, będąc na morzu. Teraz pan wie." Do floty amerykańskiej przyjęto go bez oporów i skierowano do stoczni, na nowo zbudowany tankowiec. Nie pływał nigdy na tankowcach, trzeba będzie znowu zaczynać od zwykłego marynarza — myślał. Zdumiał się, gdy powierzono mu stanowisko II oficera. Powoli zaczął poznawać statek i załogę, zbieraninę ludzi z różnych stron świata. Szybko awansował.

Na inny tankowiec został przeniesiony już jako I oficer.

Jednego dnia stali przy nabrzeżu portowym w Nowym Jorku. Nadzorował na dolnym pokładzie ładowanie, gdy kapitan zawiadomił, że ma gościa. Nie spodziewał się nikogo.

Czekał jakiś mężczyzna w mundurze w dystynkcjami majora US Navy.

„Stefan Wesołowski?" — Tak.

Usłyszał, że ma się stawić w War Departament Army Transportations Corps. Pomyślał, że pewnie ktoś zrobił aferę z tego, że nielegalnie pomaga rodzinie w kraju. Jadąc z majorem samochodem na Brooklyn zastanawiał się, co powie. Nie zapytali o nic więcej, jak o to, czy chce u nich pracować. Potrzebują ludzi. — Chętnie — odparł. Wzięli odciski palców, zrobili fotografię.

Na stojący w stoczni lotniskowiec pomocniczy USAT „Ganandock" wszedł jako „Captain Wesolowski Stefan". Z dokumentów departamentu wojny wynikało, że od tej chiwli jest zastępcą dowódcy okrętu.

Nie miał pojęcia o lotniskowcach. Musiał się uczyć na nowo.

Wyszli w morze z częściami zapasowymi w ładowniach i głównym pokładem załadowanym myśliwcami o złożonych skrzydłach. Na samej górze,

trzy gotowe do startu samoloty, miały stanowić ochronę konwoju. Zawinęli jeszcze do Bostonu, potem obrali kurs na Nową Szkocję, gdzie w Halifax formował się konwój. Celem był Murmańsk.

Znowu długie dni i noce na Północnym Atlantyku. Zimne, białe noce. Cisza i nasłuchiwanie. Tę ciszę przerywał nagle warkot motorów dochodzących z nieba. Łączył się z wyciem syren i jazgotem dzwonków alarmowych na okręcie. Podrywało ludzi z koi, od stołu. Czasem zostawały listy, których ktoś już nigdy nie miał dokończyć i zdjęcia odsyłane rodzinom. Rytuał pożegnań ludzi, z którymi się jadło i spało, przeżywając ten sam strach i tą samą niepewność. Mówili sobie później: mieliśmy tylko odrobinę więcej szczęścia.

Szmer modlitwy i plusk ciał znikających w morzu. Są sceny, których się nie zapomina, choć czas zatarł w pamięci nazwiska żegnanych na zawsze ludzi.

Z Halifaxu wypłynęło wtedy 120 jednostek. Do celu dotarła połowa. W następnym konwoju Wesołowski był już „pierwszym po Bogu". Dowódca pozostał w porcie po ataku serca. Płynęli znów do Murmańska. Później przyszła kolej na Włochy, lądowanie na Sycylii, powrót do Ameryki, zmiana załogi i rejs do Sauthampton. Szykowała się wielka inwazja.

Podczas pamiętnego dnia 6 czerwca 1944 roku, „najdłuższego dnia", na lotniskowcu „Ganandock" miejsce samolotów zajęły czołgi. Windami dźwigano je na górny pokład, skąd potem zjeżdżały po pochylniach na plaże Normandii. Tego dnia lotniskowiec Wesołowskiego został trafiony z baterii dział nadbrzeżnych. Kapitan doprowadził go jeszcze do stoczni remontowej w Sauthampton, po czym objął dowództwo na „LT 533". To był ogromny holownik,

wielkiej mocy, który ciągnął przez La Manche barki z paliwem i amunicją. Zabierał po 5—10 tysięcy ton jednorazowego ładunku. Wiele zależało od tego, jak szybko rozładowany zostanie na francuskim brzegu i wróci po nowy ładunek. Liczył się czas, każdy dzień, niemal każda godzina.

Płk Sherman L. Kiser z dowództwa portu załadukowego w Sauthampton oświadczy później, że dowodzony przez Wesołowskiego holownik 36 razy przepływając kanał, przetransportował podczas inwazji około 20 procent całego tonażu armii amerykańskiej.

Wczesnym rankiem, 23 grudnia 1944 roku, gdy „LT—533" wracał od francuskiego brzegu, jego dowódca spostrzegł niemiecki samolot zrzucający miny na oczyszczony z nich wcześniej wodny tor. Za kilka godzin miał tędy płynąć kolejny konwój.

Następnego dnia londyńskie dzienniki doniosły o wyczynie kapitana „LT-533", który na własną odpowiedzialność przerwał ciszę w eterze, donosząc o niebezpieczeństwie pól minowych. Wniosek o odznaczenie dla swego podwładnego płk Robert L. Taylor umotywował: *...swą heroiczną i ryzykowną dla własnego życia akcją przeprowadzenia konwoju przez pola minowe oraz innymi czynami, przyczynił się kapitan Wesołowski znacznie do sukcesu wojskowego operacji, przynosząc zaszczyt sobie samemu i amerykańskiej armii.*

Za tę akcję korpusu transportowego armii USA, generał Frank Ross, odznaczył dowódcę i jego okręt. Sporządzony jednocześnie wniosek o nadanie holownikowi nazwy „Captain Wesolowski" pozostał jednak na papierze. Po uroczystości w Rouen, w czasie której odczytano rozkaz dowództwa mówiący o zasługach „LT-533" i kapitana, Ross podszedł do Wesołowskiego: „Pan żyje, pan został odznaczony, do

pana teraz należy decyzja... Niech pan pozwoli, aby ten okręt nazwano imieniem pierwszego żołnierza naszej armii, który poległ na plażach Normandii." Tak się też stało.

Później był znów powrót kapitana na „Ganandock", rejs w eksporcie torpedowców do Oslo z rządem norweskim na pokładzie. Później powrót do Anglii i wiadomość, że ma lecieć do San Francisko, aby objąć dowodzenie okrętem desantowym „Prezydent Madison", którym popłynął do ujścia Jangcy, na japoński front.

Wojnę zakończył z chronicznym nieżytem oskrzeli i sfatygowanym sercem. Lekarze zalecili pobyt w wilgotnym, gorącym klimacie. Nie bardzo im wierzył. Z czasem się przekonał, że mieli rację. Kaszel nękał, gdy tylko następowała chłodniejsza pogoda. Coraz częściej rozsadzał piersi podczas pobytu w Nowym Jorku. To przesądziło. Kapitan zwrócił się do swoich zwierzchników, prosząc o listy polecające dla Biura Imigracyjnego.

Chcę zalegalizować swój pobyt i osiedlić się na stałe — powiedział. Wtedy został wezwany do generała. „Pan kpi" — powitał go zwierzchnik. — Nie kpię, generale. Ja naprawdę nie jestem obywatelem waszego kraju.

„Kto pana przyjął w takim razie do służby? Jakim sposobem?" „Nie wiem. Pewnego dnia przyjechał jakiś major z Transportation Corps, potem pytali mnie, czy chcę u nich pracować. Zgodziłem się. Kapitan tankowca, na którym służyłem żyje, mam jego adres, możecie to sprawdzić." Taki był początek.

„Niemożliwe — dziwił się generał — nie było przypadku, aby cudzoziemiec dowodził okrętem Stanów Zjednoczonych." — Cóż poradzę. To prawda.

„Musi być dochodzenie. Będziemy szukać tego,

kto pana nielegalnie przyjął." — Legalnie czy nie, obowiązki wypełniałem. Mam to na papierze, mam wasze odznaczenia, pochwały, mam wasz „Legion of Merit".

Burza w departamencie wojny przycichła, gdy do dokumentów kapitana doszedł jeszcze jeden. „... Podjął się pan poważnych zadań, które wymagały odwagi i męstwa... Serdecznie dziękuję w imieniu Narodu. Liczę na dalszą pokojową służbę Pana dla naszego kraju."

Podziękowanie wysłano z Białego Domu. Na dole widniał podpis prezydenta Trumana.

Wśród innych pamiątek z tamtego okresu znajdują się dwie fotografie. Na jednej oficer marynarki USA obejmuje ramiona siedzącej na krześle starej kobiety o drobnej, zniszczonej wiekiem twarzy: Bronisława Wesołowska spotkała się z synem w marcu 1946 roku. Jego pobyt na ziemi polskiej był krótki, nieoficjalny. Ona przyjechała na to spotkanie ze Słupska, gdzie zamieszkała po wojnie wraz z zięciem i córką. Więcej jej nie zobaczył. Po śmierci, zgodnie ze swym życzeniem, została przewieziona w rodzinne strony i pochowana na radomskim cmentarzu. Syn zamówił pomnik, który stanął na grobie.

Druga fotografia trafiła w lipcu 1946 roku do prasy nowojorskiej; mężczyzna w galowym mundurze kapitańskim ściska żonę i dwóch małych synów. Zdjęcie wykonano w chwilę po przybyciu do portu nowojorskiego SS „Waszyngton", który z Hawru wiózł na pokładzie rodzinę kapitana Wesołowskiego. Mijał siódmy rok od chwili, gdy rozdzieliła ich wojna.

Z uzyskaniem obywatelstwa amerykańskiego nie było już trudności. Odleżał parę miesięcy w szpitalu po zawale serca, zdobył dyplom kapitana żeglugi wielkiej, znów zaczął pływać. Rejsy do Argentyny,

rejsy do Zatoki Perskiej... Zimą w ogóle nie tolerował nowojorskiego klimatu. Bronchit stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Tego nie można było zbyt długo ukryć. Wreszcie lekarze z „Marines Hospital" nie zezwolili na dalszą pracę na morzu z tym stanem zdrowia. Bez ich zgody nie było po co wracać na okręt. Musiał mieć czarno na białym, że ze zdrowiem jest „OK".

Po trzech miesiącach pobytu w domu nie mógł znieść bezczynności. Nie czuł się rentierem. Podczas zabiegów inhalacyjnych zauważył, że kaszel na jakiś czas uspakaja się zupełnie. Pewnego dnia wciągnął więc w oskrzela pokaźną porcję leczniczego naparu i pobiegł do szpitala.

— Wszystko już w porządku doktorze!

Lekarz go zbadał. „Był pan może w tropiku?", nie bardzo dowierzał, aby w nowojorskim klimacie mogła nastąpić tak nagła poprawa. — Skądże. Jestem przez cały czas tutaj. Po prostu choroba minęła.

Lekarz pokręcił głową sceptycznie „Muszę powiadomić ordynatora" — powiedział. I właśnie wtedy, gdy wychodził, gdy zamykał drzwi za sobą, kapitan poczuł nagle przeraźliwy, paraliżujący ból w piersiach. Wezwał pomoc. Już nie były ważne oskrzela. Nikogo nie interesował ich stan. Sprawa wyglądała o wiele gorzej. To był powtórny zawał.

Po paru miesiącach, gdy kapitan opuszczał szpital, przy jego nazwisku zrobiono adnotację: „niezdolny do pracy pod każdym względem".

Był 1965 rok.

Od czasu, gdy dwunastoletni chłopiec żądny przygód, zobaczył po raz pierwszy „wielką wodę", minęły 44 lata. Pożegnanie z morzem stało się faktem. Chciał go osłodzić zamieszkaniem w Miami Beach, w korzystnym dla swego zdrowia klimacie Florydy. Tam codziennie rano narzuca swój płaszcz kąpielo-

wy i przechodzi kilkadziesiąt metrów z mieszkania na plażę. Siada na krześle w swoim ulubionym miejscu, aby patrzeć godzinami na ocean.

*

Teraz ma już dużo czasu. Synowie nalegają, aby się zabrał za pisanie wspomnień. Zawsze, gdy przyjeżdżają w odwiedziny do rodziców, rozmowa schodzi na ten właśnie temat. Dlaczego ojciec jeszcze nie zaczął pisać? Kiedy ojciec wreszcie zacznie?

Kapitan zdaje sobie sprawę, że mają rację, że fakty i zdarzenia mogą ulecieć z pamięci, jeśli ich nie zatrzyma papier. Zaczyna porządkować posiadane dokumenty, próbuje odgrzewać z niepamięci i zrekonstruować rodzinną tradycję. Odtwarza w pamięci losy ojca, dziada i to, co ten ostatni opowiadał o czasach jeszcze wcześniejszych.

Przypomina to sobie wszystko po latach, gdy zaczyna porządkować rodzinne dzieje. Szuka śladów swoich antenatów. Jedne się urywają, zacierają, szuka następnych. Rola takiego szperacza podoba mu się coraz bardziej. Odwiedziny rodzinnego kraju dostarczają nowych przeżyć i wzruszeń. Podczas wojaży po Polsce szuka śladów swojej przeszłości. W świadomości swoich dzieci i wnuków chce utrwalić przekonanie, że ich amerykańską współczesność poprzedza, sięgający w głąb przeszłości, staropolski rodowód.

Ma dużo czasu; na korespondencję z przyjaciółmi, na przyjazdy do Polski. Trafia do Biblioteki Watykańskiej i do księgozbiorów biblioteki amerykańskiego Kongresu. W dziale słowiańskim tej ostatniej, odszukuje polskie herbarze. Czyta o „klejnocie starodawnym Ogończyk." Dowiaduje się, że ów herb „Ogończyk", nadany niegdyś za waleczność i zasługi na polu chwały kilkudziesięciu polskim rodzinom,

przysługuje również Wesołowskim lub Wiesiołowskim, których „nazwiska pisano dawniej na różne sposoby.” Teraz wyjaśniają mu się powody, dla których dziadek Seweryn czasem dopisywał do swego nazwiska — Ogończyk.

Emerytowany kapitan zaczyna przeżywać nową, lecz bezpieczną, przygodę swego życia. Prywatną przygodę z przeszłością swych przodków. Pragnie wiedzieć więcej, niż wiedzieli ojciec Lucjan i dziadek Seweryn.

*

A jak zaczęło się moje spotkanie z polskim-amerykańskim kapitanem?

To było przed pięcioma laty. Usłyszałem od kogoś, że wśród uczestników zorganizowanego w Krakowie Kongresu Uczonych Polskiego Pochodzenia, znajduje się Zdzisław Wesołowski — profesor ekonomii i zarządzania z Florida Memorial College w Miami. Wiedziałem o profesorze tylko tyle, że ma czterdzieści lat, bezbłędnie mówi po polsku, jest autorem kilkunastu publikacji naukowych, działa w środowisku polonijnym. Chciałem przeprowadzić z nim wywiad.

Gdy się spotkaliśmy, profesor zaczął mówić o ojcu. Opowiadał o jego niezwykłej biografii. Mówił tak, jak się mówi o kimś, kto już za życia stał się rodzinną legendą.

Nie mieliśmy wiele czasu. Profesor śpieszył na samolot. Powiedział: „Ojciec będzie w Warszawie, może go pan odwiedzi, może on pana zainteresuje.” Zostawił adres. Pojechałem tam.

Kapitan zatrzymał się w domu swoich krewnych na Pradze. To miejsce było jakby wstępem do jego życia — z okien mieszkania, za drzwiami, widać było wieżę kościoła św. Floriana. Gdy otwarł mi drzwi, zobaczyłem niewysokiego, krępego mężczyznę o si-

wych, krótko przyciętych włosach. Na sobie miał białą koszulę. W klapie marynarki, rozwieszonej na oparciu krzesła dojrzałem miniaturkę Krzyża Walecznych.

Czas naszej rozmowy był ograniczony. Za kilka godzin kapitan wraz z żoną miał lecieć do Gdańska. Powiedział, że na dłuższej rozmowie spotkamy się, gdy następnym razem przybędzie do Polski. Za kilka dni widziano go, jak w grupie uczestników Zjazdu Polskich Kombatantów, składał kwiaty pod pomnikiem na Westerplatte. Dzień był upalny, lipcowy. Wśród zgromadzonych na nabrzeżu delegacji, kręcili się fotoreporterzy. Kapitan zatrzymał się chwilę na stopniach pomnika, pozując do pamiątkowego zdjęcia. Patrzył na drugą stronę portowego kanału. Być może w tej właśnie chwili, wśród lasu żurawi Nowego Portu, próbował znaleźć miejsce, gdzie kiedyś stała „Gazolina", po której pokładzie uwijał się dwunastoletni chłopiec marzący o morzach i dalekich lądach.

Miałem się z nim spotkać za dwa lata. Jesienią 1978 roku nadszedł list. *Bardzo mi przykro, że się nie możemy zobaczyć, ale wciąż wynikają jakieś przeszkody. Mieliśmy z żoną zapłaconą wycieczkę szlakiem Kościuszki i Pułaskiego. Chciałem żonie Jeremiego i wnukom pokazać Polskę. Jeremi mieszka teraz w Lizbonie. W dniu 14 sierpnia mieliśmy tam lecieć, a potem zaraz do Warszawy. Niestety. Kontuzja spod Narviku dała znać o sobie. Poczułem ogromny ból w krzyżach, a później w całych plecach i straciłem władzę w nogach. Pogotowie, nosze i pobyt w szpitalu, naciąganie całego tułowia, zastrzyki. Po trzech tygodniach przywieziono mnie do domu, czuję się lepiej, lecz o jakiejkolwiek podróży mowy być nie może. Dzieci i wnuki z Lizbony przyjechały do nas, bo stan mego zdrowia był krytyczny. Dzisiaj*

czuję się lepiej, odczuwam tylko jeszcze lekkie bóle poruszając się po mieszkaniu, ale pocieszam się, że wszystko będzie dobrze i w przyszłym roku będziemy mogli dokończyć zaczętą kiedyś rozmowę.

Do listu dołączony był album rodzinny. W nim zdjęcia już historyczne i te całkiem współczesne. Na przedostatniej stronie dwie barwne fotografie wykonane w polskiej ambasadzie i list konsula generalnego Polski: *Mam zaszczyt poinformować, że Rada Państwa PRL nadała Panu Komandorię Orderu Zasługi PRL oraz Śląski Krzyż Powstańczy za zasługi jako kombatantowi II wojny światowej oraz w walce o polskość Śląska.*

Na fotografii kapitan z żoną i dwoma synami na tle dużego portretu Ignacego Paderewskiego. Z lewej Zdzisław, którego już poznałem, ten z prawej strony, w okularach to Jeremi, dziś szef portugalskiego przedstawicielstwa amerykańskiej firmy farmaceutycznej, a jeszcze nie tak dawno, młody człowiek, który swe pierwsze oszczędności przeznaczył na podróż do Polski. Od czarnego smokinga kapitana odbija błękitna szarfa z Komandorią i zbliżona w kolorze wstążka Krzyża Powstańczego.

Odwracam kartę albumu. Na odwrocie powiększenie wykonane ze starej, wyblakłej już fotografii; otoczony gromadką biednie ubranych dzieci z wiejskiej szkółki, sam odziany w wytarty płaszcz, pogodnie patrzy w obiektyw aparatu fotograficznego ojciec kapitana...

Potem był następny list z wieścią o kolejnym pobycie w szpitalu i ciężkiej, pięciogodzinnej operacji naczyń krwionośnych nogi, postrzelonej jeszcze w powstaniu. Wreszcie kolejna wiadomość od kapitana:

3 sierpnia otrzymaliśmy Pana list wysłany jako ekspres-lotniczy 18 czerwca, czyli wędrował 15 dni,

to znaczy, że ja jestem bardzo młody... i pływam na „Kościuszce", „Polonii" jak w 1930 roku, bo właśnie wtedy listy wysyłane z Polski były doręczane do Stanów w ciągu dwóch, trzech tygodni...

Dzisiaj mija trzeci tydzień od mojego wyjścia ze szpitala, gdzie zawiozło mnie pogotowie po lekkim ataku serca. Gdybym nie zdążył na czas, byłby z tego poważny zawał. Tak żonie powiedzieli lekarze.

Mijają dni, tygodnie, miesiące; zrywamy kartki z kalendarza i zadaję podczas wizyt lekarzy-specjalistów to samo pytanie: czy mogę odbyć podróż do Polski. Na razie mówią: „Poczekaj pan do następnego tygodnia, niech bicie serce przybierze normalny rytm. Trzeba brać lekarstwa i unikać słońca." Wczoraj jednak doktór pozwolił mi jechać. Mamy rezerwację do Warszawy przez Frankfurt...

Nie zmienił się od czasu, gdy go zobaczyłem po raz pierwszy. W klapie marynarki znajdowała się ta sama miniaturka darzonego szczególnym sentymentem Krzyża Walecznych. Chodził nieco wolniej, a w kieszeni nosił fiolkę z nitrogliceryną, która miała uspakajać serce, gdyby wzruszenia były nadmierne. Mówił o miejscach, które chce odwiedzić podczas tego pobytu w Polsce. Wymieniał Opole, Poznań, Gdańsk, Kozienice, Warszawę i znowu Gdańsk.

— To jest bardzo męczący program — powiedziałem.

W pooranej zmarszczkami twarzy szelmowsko rozjaśniły się oczy.

— Dobrze, że moi lekarze o tym się nie dowiedzą. Ale by się zdziwili! — zaśmiał się.

Żona popatrzyła na niego, potem na mnie.

— Sam pan widzi; co począć z takim człowiekiem?

No i tak zaczęła się opowieść o życiu. Właściwie dalszy ciąg, przerwanej kiedyś opowieści. Wertowanie pism, porównywanie faktów i dokumentow. Dowiedziałem się również o dalszym ciągu przygody kapitana z rodzinną przeszłością.

Podczas pierwszego pobytu w Warszawie, przechodząc Marszałkowską, ujrzał w sklepowej witrynie księgarni zestawienie najstarszych polskich herbów, nadawanych za zasługi za polach chwały. Na jednej z szesnastu tarcz herbowych rozpoznał „Ogończyka". Wszedł do sklepu.

Czy to, tam na wystawie, to legalne? — „Oczywiście" — odparła ekspedientka.

— I rząd wie o tym? — „tak" — przytaknęła jeszcze nie bardzo wiedząc o co gościowi chodzi. Kapitan pokręcił głową z niedowierzaniem i wyszedł.

— Wie pan — mówi w naszej rozmowie — ja się tak pytałem, bo coś mi nie sztymowały te herby i ten socjalizm. Zdzisław zapytał o to samo rektora krakowskiego uniwersytetu. — Jak właściwie jest z tymi herbami? Dostał dobrą odpowiedź: „Każdy powinien znać swoją przeszłość. Każdy ma prawo wiedzieć z jakiej przyszedł przeszłości."

Przyjazdy do Polski to dla kapitana każdorazowe spotkanie z czasem przeszłym. Niedawno w Gdyni na ulicy spotkał Joannę, córkę Paula Pałubickiego. Przez 39 lat nic nie wiedzieli o sobie. Szukali się nawet za pośrednictwem „Czerwonego Krzyża". Gdy kapitan z żoną przyjeżdżał do Polski, gdy chodzili razem po Gdańsku próbując znaleźć miejsca ze swej młodości, gdy jej pokazywał gdzie musiał stać dom Pałubickich, Joanna z mężem mieszkała w niezbyt odległej dzielnicy Trójmiasta

„Szkoda, że ojciec nie doczekał naszego spotkania — powiedziała kapitanowi Joanna. — Bardzo na nie liczył."

•

Uroczystość w Opolu w sierpniu ubiegłego roku. Po obu stronach wiodących do odsłoniętego przed momentem pomnika, poczty sztandarowe. Na cokole monumentalna postać odlana z brązu. Napis: „W hołdzie powstańcom śląskim". Od wyciągniętych z szaf, zielonych mundurów i rogatek weteranów, odbija krzepka sylwetka kapitana marynarki, przy którym stoi kobieta w białym kapeluszu. Kapitan energicznie salutuje, gdy orkiestra rozpoczyna hymn polski. Jego surowa twarz zamiera w bezruchu. Tą właśnie chwilę utrwalił na zdjęciu fotoreporter. Zbliżenie: skupiona, pocięta bruzdami twarz nad wstęgą Komandorii i rzędami baretek.

Inne zdjęcia. Powitanie przed szkołą w Kozienicach. Sala gimnastyczna szkoły wypełniona młodzieżą. Kapitan z żoną wśród tej młodzieży, która wstaje z krzeseł gdy wchodzą goście. Kapitanowi błyszczą oczy. „Chcę ucałować tę ziemię, którąm ukochał dzieckiem" — słowa Broniewskiego wypisane białymi literami na transparencie rozwieszonym na ścianie obok białego orła. Za stołem pokrytym suknem zasiada stary człowiek, którego życiowa przygoda zaczęła się właśnie w tym mieście prawie sześćdziesiąt lat wcześniej. Zaczyna mówić. Dla młodzieży, która go teraz słucha, to już nie zwykła przeszłość, ale historia.

•

W Miami pytają go, po co jeździ tak często do Polski. Wyliczają, przeliczają, kalkulują, sensu szukają w tych podróżach.

— „Jak mam wam wytłumaczyć coś, czego nikt z was nie zrozumie, a na pewno nie zrozumie, skoro pyta o to" — odpowiada kapitan. — Dla mnie pienią-

dze nie mają wartości, jeśli ich się na coś nie wyda".

Nie bardzo pojmują. Trudno pojąć co siedzi w człowieku — widocznie to dziedziczne, ponieważ nawet jego syn, zamiast pierwsze oszczędności odłożyć na konto bankowe, wydał na wyjazd Polski.

Kapitan nie ma wielkich wymagań. Nigdy nie żył w luksusie i ten luksus nie jest mu wcale potrzebny. Nie trzeba luksusów, aby żyć wygodnie. — Wygoda i luksus to dwie różne sprawy — powtarza. Słońce jest tutaj takie samo dla wszystkich, taki sam piasek i morze. Nieduże, dwupokojowe mieszkanie na drugim piętrze domu przy Collins Avenue wystarcza aż nadto. Nie kupił samochodu. Rocznie musiałby przeznaczyć na jego utrzymanie z tysiąc dolarów. Woli te pieniądze odłożyć na kolejne spotkanie z Polską. Milionów się nie dorobił, ale też nigdy ich nie pragnął.

„Ludzi niszczy zachłanność" — powiedział mi w czasie jednej z rozmów. — Niech się pan przyjrzy, co pisze na tym — wyciągnął zielony banknot. — Tu pisze „In God we trust" — wierzymy w Boga. Dla wielu ludzi to właśnie jest jedyny Bóg, dla którego gotowi są popełnić podłości największe. — Widzi pan te ręce — pokazał dłonie — te ręce są czyste. Nie dlatego czyste, że bały się brudnej i ciężkiej pracy, lecz czyste dlatego, że ustrzegły się brudnych interesów. Te czyste ręce to jest mój największy kapitał."

Klimat Florydy jest upalny i wilgotny. Taki właśnie służy zdrowiu kapitana. Służy zresztą wszystkim, którzy tutaj przyjeżdżają: tym co pysznią się swoim bogactwem w luksusowych hotelach i tym, którzy chcą żyć skromnie lecz wygodnie z emerytury, nie pragnąc niczego więcej prócz spokoju. Pieniądze mogą być różne: wielkie i małe, ale spokój jest tylko jeden.

Po ciężkiej zimie 79 roku, wielu ludzi przeniosło się na Florydę. Kiedyś za galon ropy do ogrzewania swych domów na północy płacili 19 centów, teraz cena podskoczyła do dolara. Sprzedali więc swe domy na północy kraju i przenieśli się do ciepłego klimatu, tam gdzie domów nie muszą ogrzewać. Inne wydatki ograniczone są również, słońce zaś świeci wszystkim jednakowo, bez względu na zawartość bankowego konta. Takich ludzi jest na Florydzie dziesiątki tysięcy i do nich właśnie zalicza się Wesołowski.

*

W witrynie zakładu fotograficznego przy ulicy Szewskiej w Krakowie, wśród wielu innych zdjęć, wisi portret kapitana. Przechodnie przystają, patrzą, idą dalej. Ktoś bardziej obeznany może się zastanowić, skąd się wzięła Komandoria polskiego orderu na szyi siwego mężczyzny w mundurze oficera floty amerykańskiej.

Spoglądająca z portretu twarz ma skupiony, poważny wyraz. Spojrzenie jest zamyślone. Takim samym spojrzeniem patrzy na ocean, siedząc o tysiące kilometrów stąd, w zakątku nadmorskiego bulwaru w Miami Beach. Wzrok ślizga się po falach uderzających białymi grzebieniami o pale falochronu. Rozbijają się, odpływają, aby z nowym impetem zaatakować piaszczystą plażę.

Kapitan bez żalu odprowadza wzrokiem płynące w oddali statki. Życie na nich wspomina jak uczucie, które minęło; z sentymentem, ale bez dawnej namiętności. Tylko ocean nie stracił dlań swej magnetycznej mocy. Bywa, że siwy człowiek, wodząc spojrzeniem po jego bezkresnej przestrzeni, zatrzymuj wzrok dłużej, patrząc jakby z nostalgią w północno-wschodnim kierunku.

Nikt nie wie o czym wtedy myśli kapitan.

Jakub Kopeć

PROCES WEZBRANY JAK RZEKA

Ileż wody upłynęło w Wisłoce od pamiętnego dnia 7 lutego 1979 roku, kiedy to miasto Mielec stanęło na krawędzi katastrofy z powodu wypuszczenia do rzeki wielkich ilości oleju maszynowego przez Zakłady „Stomil" w Dębicy? Wody upłynęło bardzo dużo, zwłaszcza w okresie wiosennego przyboru i letniej powodzi następnego roku. Już 8 lutego urząd prokuratorski rozpoczął energiczne śledztwo w celu wyszukania bezpośrednich sprawców groźnej awarii. W pierwszej fazie dochodzenie toczyło się szybko, może nawet zbyt szybko, lecz za to w końcowej fazie nabrało majestatycznej powolności. Na wstępie aresztowano głównego energetyka „Stomilu" magistra inżyniera Edwarda Madejskiego, lecz im głębiej prokuratorzy drążyli fabryczną rzeczywistość, tym bardziej skomplikowana okazywała się kwestia ustalenia winy. W charakterze świadków przesłuchano kilkaset osób, materiały dochodzenia spięto w pięciu opasłych teczkach, żeby wreszcie w końcówce roku 1979 mogła rozpocząć się rozprawa sądowa.

Przez podłużne okna wpada do środka skąpe światło ranka, toteż sala sądowa, w której dobiega właśnie końca proces trzech inżynierów dębickiego „Stomilu", oskarżonych o zatrucie rzeki Wisłoki olejem maszynowym, świeci przede wszystkim pustka-

mi. Nie ma na sali publiczności, alę to nie powinno dziwić: dochodzenia prokuratorskie łącznie z rozprawą zajęły już kilkanaście miesięcy i najpilniejszych nawet obserwatorów mogło dopaść znużenie. Żeby wytrwać wśród nie kończącej się gadaniny stron procesowych i świadków, trzeba mieć jakąś nadzwyczajną podnietę, w najgorszym razie taką, jaką może tu mieć reporter.

Można było oczekiwać najdziwniejszych niespodzianek jeżeli niespodzianką wolno nazwać coś, czego się przecież oczekuje, lecz proces zapowiadał się wszakże nader interesująco. Aż trzech inżynierów postawionych w stan oskarżenia, arcypoważne zarzuty. Że po pierwsze swoim postępowaniem — niedopełnieniem obowiązków służbowych, nieostrożnością i lekceważącym stosunkiem do fabrycznych regulaminów — spowodowali niewymierne szkody przyrodnicze, zalewając rzekę Wisłokę i jej brzegi śmierdzącym mazidłem, że po drugie na okres czterech dni odcięli czterdziestotysięczny Mielec od miejskiego ujęcia wody, narażając mieszkańców na niedogodności higieniczne i aprowizacyjne, że po trzecie i czwarte przysporzyli kilkunastomilionowych strat w przemyśle, pozbawionym wody technologicznej oraz zmusili ponad czterdzieści beczkowozów do wielodniowego i nieprzerwanego ruchu w zastępstwie nieczynnych wodociągów.

Kto sprowadza powszechne niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia podlega karze więzienia od lat dwu do dziesięciu — głosi odpowiedni paragraf kodeksu karnego. A skoro tak potężny aparat zakrzątnął się wokół trzech inżynierów, szefów trzech potężnych wydziałów, to należy spodziewać się surowych i przykładnych wyroków, które nie tylko wymierzą sprawiedliwość winowajcom, lecz stanowić będą bodziec odstraszający, by już nigdy i nikt nie zatruwał

Wisłoki olejem maszynowym. Opinia publiczna domaga się surowych wyroków, gdyż niszczeniu naturalnego środowiska człowieka należy położyć tamę. Istnieją wszak na świecie nieprzeliczeni prorocy, którzy głoszą, że ludzkości nie są już potrzebne bomby atomowe, albowiem samozniszczenie, do którego ludzkość tak konsekwentnie dąży, osiągnięte będzie spokojnie i bez niepotrzebnego hałasu na drodze zakłócenia równowagi ekologicznej.

Pierwsza zasada dobrej reporterki sądowej w sformułowaniu G. B. Shawa powiada. „Jeśli jesteś już na sali sądowej, to uważnie rozejrzyj się wśród publiczności za kimś, kogo naprawdę byłoby warto wsadzić do ciupy." Lecz cóż robić w sytuacji, gdy na sali jest Wysoki Sąd, są oskarżeni, biegli sądowi, adwokaci i prokurator, lecz w ogóle nie ma publiczności? Spodziewając się najazdu licznych obserwatorów z całej Polski, obecności przedstawicieli władz miejskich z Mielca, reprezentantów wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych dotkniętych brakiem wody, wreszcie delegatów ‚Stomilu" — sprawcy awarii, na miejsce rozprawy wyznaczono największą salę w Sądzie Rejonowym. I to jest chyba w procesie największą niespodzianką, że dębowe rzędy ław stoją puste.

A przecież jest to proces poniekąd precedensowy. Po raz pierwszy w naszym kraju w stan oskarżenia postawiono nie bezpośrednich sprawców, majstrów, brygadzistów, czy też szeregowych robotników, lecz inżynierów — mózgowców, którzy osobiście do niczego ręki nie przyłożyli. Dzięki hierarchii i pośredniości wynikającej z podziału pracy i wysokiej specjalizacji, ci trzej inżynierowie tylko naciskali guziki uruchamiające moc niesłychaną. a skutki dające się odczuć na drugim końcu przewodu dotknęły ludzi, którzy osobiście guziczków nie naciskają. To właś-

nie, na sali rozpraw dębickiego sądu, formułują się wskazówki metodyczne dla wszystkich naszych wspaniałych ludzi techniki, pobudzające ich do zastanowienia nad miejscem inżyniera we współczesnej cywilizacji.

— Przemysł stawia teraz sensowność istnienia naszego miasta pod znakiem zapytania — z melancholią w głosie mówił Krzysztof Kralisz, dyrektor mieleckiej Stacji Sanitarno-Epidomiologicznej, jeszcze na początku procesu. — Przygoda „Stomilu" jest dość przypadkowa, ze „Stomilem" nigdy przedtem nie mieliśmy kłopotów, lecz, na przykład, Fabryka Farb i Lakierów w Pustkowie ma dla Mielca trwałe i rosnące zasługi. Cztery lata temu Pustków zapłacił siedemset tysięcy złotych kar regulaminowych za zatruwanie Wisłoki, a w zeszłym roku zapłacił dwa miliony trzysta tysięcy. Widać wyraźnie progresję w karach, ale to wcale dla mieszkańców Mielca nie jest krzepiące. Wygląda na to, że przedsiębiorstwo wkalkulowało sobie kary za zatruwanie rzeki do kosztów produkcji i zupełnie nie przejmuje się tym, co dzieje się niżej. Żadne kary regulaminowe bijące w całość przedsiębiorstwa nie będą skuteczne. Należy osobom kierującym przedsiębiorstwami uświadomić, że dalej już truć nie można, że jest to przestępcza działalność skierowana przeciwko ludziom, którzy, chcąc nie chcąc, muszą pić to, co im przemysł z wodami rzecznymi daje. A jeśli szefowie przedsiębiorstw nie będą w stanie tej prawdy rozumieć, trzeba ich karać bezpośrednio.

Stosunek ludzi techniki do czystości wód jest doprawdy zastanawiająco beztroski. „Stomil" poczęstował Mielec porcją oleju i zmusił miasto do zaopatrywania się w wodę do picia beczkowozami. Kilka lat wcześniej elektrociepłownia „Siekierki" w Warszawie wypuściła do Wisły pięć ton oleju;

tylko cud wówczas sprawił, że nie uległy zniszczeniu dwa prawobrzeżne ujęcia wody dla miasta. Wielka plama brudnego oleju pożeglowała w dół rzeki i jedynie silnemu wiatrowi wiejącemu w kierunku zachodnim należy zawdzięczać, że ocalała „Gruba Kaśka" i „Chudy Bartek", dwa ujęcia wodne zainstalowane na środku rzeki. Zachodni wiatr dopchnął plamę do lewego brzegu. Olej dotarł aż do lewobrzeżnego ujęcia wody dla Warszawy i byłby przedostał się do odstojników, gdyby nie czujność pracownika wodociągów, który natychmiast zamknął zastawki. Dzięki przypadkowi i dzięki czujności stolica tylko przez dwa dni odczuwała niedobory wody. Konsekwencje zniszczenia wszystkich trzech ujęć wodnych przez olej, trudno sobie wyobrazić. Naprawa musiałaby trwać przez wiele miesięcy, a w takim czasie zaopatrywanie półtoramilionowego miasta beczkowozami nie da się nawet pomyśleć. Dyrektor elektrociepłowni „Siekierki" poniósł wówczas zasłużoną karę: zdjęto go ze stanowiska. Następnie powierzono mu stanowisko nie mniej odpowiedzialne.

I właśnie na sali Sądu Rejonowego w Dębicy dobiega końca proces wymierzony konkretnie przeciw trzem szefom wydziałów ze „Stomilu", lecz skierowany także przeciw wszystkim ludziom techniki, którzy przykładają ręki do dzieła niszczenia zasobów wodnych w całej Polsce. „Racjom technicznym" i „względom ekonomicznym" przeciwstawia się gniew ludu, zmuszonego do picia wody z kreozolem, fenolem, benzolem, formaldehydem, olejem maszynowym i wszelkim innym świństwem.

*

Trzej szefowie wydziałów dębickiego „Stomilu" tylko naciskali guziczki, a skutki na drugim końcu

przewodu dotknęły mieszkańców Mielca, którzy osobiście guziczków nie naciskają.

Pamiętam to doskonale, a nawet jeśli w niektórych miejscach powstały luki pamięciowe, to zawsze mogę podeprzeć się notatkami; w owych fatalnych dniach lutego, kiedy beczkowozy rozwoziły wodę po Mielcu odciętym od filtrów i kiedy rzeka Wisłoka toczyła nurt spieniony od oleju maszynowego. — O tak — wówczas po Mielcu i po Dębicy kręciły się dziesiątki dziennikarzy spragnionych sensacji, pełnych słusznego gniewu obywatelskiego i żądnych sprawiedliwości. Zwłaszcza utkwił mi w świadomości początek relacji z czołowego stołecznego tygodnika, relacji spisanej niemal heksametrem: „Bez wody się umiera. Wszyscy to wiedzą. Nie wszyscy umieją sobie wyobrazić. Brak wody kojarzy się z pustynią, oblężeniem i wojną, suszą i klęską. W filmach sceny umierania z pragnienia potrafią wyciskać łzy z oczu. 7 lutego bieżącego roku miastu Mielec zabrakło wody."

Zapowiedź Apokalipsy, miasto Mielec bez wody, z braku której człowiek gotów umierać! Ja zaś stawiłem się w owym mieście trzeciego dnia katastrofy. Wbrew oczekiwaniom znalazłem miasto pulsujące życiem i to życie toczyło się w jakimś jak gdyby z góry ustalonym rytmie. Wprawdzie w kilku ubikacjach hotelu miejskiego uprzystępnionych dla PT publiczności obowiązywały zarządzenia stanu wyjątkowego, lecz gastronomia normalnie serwowała posiłki. Po ulicach regularnie kursowały czerwone beczkowozy straży ogniowej, wspomagane przez tabor Przedsiębiorstwa Oczyszczania. W sumie wszystko wyglądało tak, jakby ktoś sobie z góry zaplanował katastrofę i sumiennie przygotował obronę miasta przed suszą. Tak w żadnym razie nie powinno wyglądać miasto zaskoczone.

W toku postępującej urbanizacji Mielca i z zaufania do miejskich wodociągów, większość studzien zdolnych czerpać wodę z zasobów podskórnych, zasypano piaskiem bądź gruzem, lecz i tak pozostało około czterdziestu czynnych otworów z kołowrotkiem bądź z ręczną pompą, wokół których natychmiast zakrzątnęli się ludzie.

Po kilku godzinach zbyt intensywnego czerpania w studniach pokazało się dno, co zresztą dla nikogo nie było zaskoczeniem.

Gdy wyschły studnie, można już było liczyć wyłącznie na beczkowozy służb miejskich. Na dziesięciostopniowym mrozie stało się niekiedy dwie godziny, ale przecież nikt nie odszedł z pustym wiaderkiem, wody dla wszystkich mieszkańców starczyło. W sytuacji bardziej kłopotliwej znalazły się przedsiębiorstwa przemysłowe, zużywające wodę dla celów technologicznych. Z powodu suszy w kranach zatrzymano pracę na kilkudziesięciu stanowiskach w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego (m. in. stanęła praca w tak ważnych oddziałach, jak odlewnia, hartownia, lakiernia). Zatrzymano także pracę w Zakładach Prefabrykacji Elementów Budowlanych, gdzie zabrakło odpowiednich ilości wody dla związania cementu.

Dla mleczarni decyzja o wstrzymaniu produkcji nie kończyła kłopotów: a cóż począć z mlekiem dowożonym sukcesywnie od pobliskich dostawców? Gdy już zorientowano się, że przerwa w dostawie wody będzie długa, zorganizowano przerzut mleka do przetwórni w Rzeszowie. Dzięki temu przerzutowi straty zminimalizowano prawie do zera.

Pracę piekarni, zakładów zbiorowego żywienia, przedszkoli, szkół i innych obiektów publicznych o podstawowym znaczeniu dla funkcjonowania miasta, utrzymano dzięki ciągłemu zaopatrzeniu w wodę

beczkowozami. Wszędzie, gdzie to było możliwe, uruchomiono awaryjne ujęcia wody.

Po kilkugodzinnym rekonesansie zawitałem do magistratu ze słowami najwyższego uznania dla miejskich służb komunalnych i z wyrazami podziwu dla zdyscyplinowania mieszkańców, cierpliwie oczekujących na dostawy wody przewidziane szczegółowym harmonogramem.

— O tak, doprawdy, ludzie spisują się nad podziw — powiada naczelnik miasta Józef Król. — Zwłaszcza nasi strażacy wykazują wiele hartu. To oni też bez przerwy wożą wodę trzydziestoma cysternami z odległości przekraczającej nieraz trzydzieści kilometrów.

— Nasi chłopcy spisują się na medal. Śpią po trzy—cztery godziny i wracają do akcji — wtrącił komendant straży pożarnej. W nagrodę już w czasie trwania akcji awansowaliśmy trzynastu strażaków do wyższych stopni.

W gabinecie naczelnika miasta na czas klęski posuchy zlokalizowano siedzibę sztabu, złożonego z szefów najistotniejszych dla funkcjonowania miasta instytucji. O rejonizacji największego zagrożenia można było się przekonać już w czasie prezentacji, kiedy obok nazwisk wymieniane były funkcje. Jest komendant straży pożarnej, szef miejskiego przedsiębiorstwa komunalnego, dyrektor gastronomii i aż trzech lekarzy: dyrektor Zespołu Ośrodków Zdrowia, ordynator szpitala miejskiego i szef stacji sanitarno-epidemiologicznej. Tak liczna reprezentacja resortu zdrowia w gabinecie naczelnika miasta, znajduje swoje usprawiedliwienie w istniejącej sytuacji: największego zagrożenia dla mieszkańców należy się spodziewać ze strony bakterii salmonella tymphi — zarazka duru brzusznego, mogącego w antysanitarnych warunkach rozmnożyć się aż do epidemii.

— Mamy potworne mrozy — powiedział doktor Jerzy Opolski. — To fatalne dla dostaw wody; zamarzają zawory beczkowozów, ludzie przemarzają w kolejkach i niszczą sobie ręce. Ale dla nas, lekarzy, ten mróz jest zbawieniem. Stwarza barierę dla rozprzestrzeniania się zarazków.

Każde miasto ma jakiś specyficzny rytm życia, raz ustalony krok i właściwe tylko sobie natężenie ruchu ulicznego, dzięki czemu z zamkniętymi oczami można — bez potrzeby przepytywania przechodniów — zorientować się co to za miasto. Znałem Mielec z wielokrotnych uprzednich eskapad, toteż w czasie awarii zdumiał mnie brak kontrastu. Kolorowy tłum ludzi na ulicach był jak najbardziej powszedni i nie sprawiał szczególnego wrażenia. W tym spokoju i opanowaniu kryła się jakaś tajemnica, której przybysz z innego miasta nie mógł pojąć. W sztabie kierującym obroną miasta również nie wyczuwało się nerwowości, wyglądało to tak, jakby do gabinetu naczelnika zwołano jakąś zwykłą cotygodniową naradę.

— Z początku nie za bardzo nawet zdenerwowałem się — opowiada naczelnik Król. Parę minut po drugiej zatelefonował do mnie inspektor sanitarny z wiadomością, że najpóźniej za kwadrans trzeba będzie wyłączyć wodociągi, bo Wisłoką płynie olej i grozi uszkodzeniem ujęcia wody. Puściliśmy do kranów wodę z zapasowego zbiornika, ale od razu było wiadomo, że to nie wystarczy na dłużej, jak na osiem godzin. Przez pierwsze pół godziny czekaliśmy. Trzeba było dokładnie zorientować się w czym rzecz i dopiero później podejmować właściwe decyzje. Czekaliśmy na wyniki analiz laboratoryjnych z obserwacji rzeki. Dopiero, gdy przekonaliśmy się o rozmiarach niebezpieczeństwa, uderzyliśmy na alarm. Z początku nikt nam nie chciał

wierzyć, że jest aż tak źle. Mówiono nam: „Przyzwyczajeni jesteście, dacie sobie radę."

— Kto tak mówił? — spytałem.

— Nasza zwierzchność z województwa.

— A dlaczego uważali, że jesteście przywyczajeni?

— A bo, proszę pana, my w zeszłym roku mieliśmy do czynienia z czternastoma przypadkami zatrucia rzeki. Jedenaście razy musieliśmy wyłączyć wodociągi, ale na krótki czas, na trzy—cztery godziny, wystarczające do tego, żeby zatruta fala zdążyła spłynąć w dół rzeki.

Nieszczęsnym zrządzeniem losu miasto Mielec pobudowano w środkowym biegu Wisłoki, natomiast w górze rzeki ku chwale i ku wielkim gospodarczym pożytkom, pracują takie fabryki, jak Zakłady Tworzyw Sztucznych w Jaśle, Wytwórnia Farb i Lakierów w Pustkowie. Zatrucia fenolem, benzenem, formaldehydem, butanolem, kreozolem, etanolem i innymi toksydami o nazwach przykrych i trudnych do wymówienia powtarzają się z częstotliwością raz na miesiąc. Tego rodzaju praktyka przedsiębiorstw położonych w górnym biegu rzeki zmusza Mielec do nieustannej czujności, wyrabia w mieszkańcach najwłaściwsze odruchy epoki industrialnej.

— Nigdy dotąd nie mieliśmy żadnych przykrości ze strony dębickiego „Stomilu" — powiada doktor Janusz Król ze stacji sanitarno-epidemiologicznej. — Przez czterdzieści lat istnienia „Stomil" ani razu nie wypuścił do rzeki niczego szkodliwego i dopiero teraz zdarzyła się heca z olejem maszynowym. Trzeba jednak powiedzieć, że olej zapaskudził nam rzekę bardzo efektownie i chyba na długi czas. Umiemy się już bronić przed zatruciem fenolem, czy inną trucizną rozpuszczoną w wodzie, ale byliśmy nieprzygotowani do obrony przed olejem, co jest prze-

cież o wiele łatwiejsze. Jeszcze nigdy nie mieliśmy przygody tego rodzaju.

Z grubej plastykowej aktówki naczelnik miasta wyjmuje: „Protokół z ustaleń skutków zanieczyszczeń rzeki Wisłoki przez Zakłady „Stomil" w Dębicy", odbity w dziesiątkach egzemplarzy na kserografie. Od razu widać, że jednym z najważniejszych zadań magistratu, obok utrzymania normalnego życia w mieście jest osiągnięcie efektów propagandowych: chodzi o poruszenie opinii publicznej i ośrodków decyzyjnych naprawdę fatalną sytuacją, w jakiej znalazł się Mielec nie ze swej winy. Przed kilkudziesięcioma laty miasteczko zlokalizowano nad czystą rzeką o mało kapryśnym spływie wód, jednakże z biegiem czasu wyżej, w górnym biegu rzeki pobudowano wielki przemysł, który dziś stawia sensowność lokalizacji Mielca pod znakiem zapytania. Żeby przetrwać — miasto potrzebuje potężnego zastrzyku inwestycyjnego.

Z „protokołu" udostępnionego przez naczelnika miasta można było dowiedzieć się, że do rzeki wpuszczono około dwudziestu ton oleju, natomiast z gazety rzeszowskiej leżącej na krześle w sekretariacie można było wyczytać informację, że nurt Wisłoki na kilkunastokilometrowym odcinku pokryty jest kożuchem brunatnej mazi o grubości trzydziestu centymetrów. „Protokół" jako przyczynę zanieczyszczenie podawał awarię cysterny kolejowej ustawionej na bocznicy w dębickim „Stomilu"; po przeczytaniu gazety rzeszowskiej można było domniemywać, że na Wisłoce zdarzyła się katastrofa oceanicznego tankowca.

Trzydziestocentymetrowy kożuch na kilkunastokilometrowym odcinku rzeki, to już jest coś, co koniecznie trzeba zobaczyć na własne oczy. Podróż z Mielca w górę rzeki sprawiła jednak pewien za-

wód, bo do rzeki wpuszczono nie kilka tysięcy ton (jak to można w lot obliczyć po przeczytaniu gazetowej informacji) i nie dwadzieścia ton, jak to podawał protokół podpisany przez kilku ważnych funkcjonariuszy władzy terenowej i aż kilkunastu ekspertów przybyłych do Mielca z całej Polski, lecz zaledwie trzy tony. Ilość jest tu zresztą bez większego znaczenia. W gruncie rzeczy jedna tona też by starczyła, żeby na długi czas odciąć czterdziestotysięczny Mielec od powierzchniowego ujęcia wody.

Z wysokiego brzegu rzeki w okolicy mostu w Rzochowie, roztacza się widok na przestronną płaszczyznę pociętą meandryczną linią Wisłoki. W górę, w kierunku Dębicy i Jasła, rzeka jest wolna od lodu, w dole, od Mielca i aż do ujścia Wisłoki do Wisły, skuwa ją potężny zator lodowy. Tu właśnie, w Rzochowie, na przedpolu zatoru nastąpiło zgromadzenie i spiętrzenie oleju, który wymknął się niepostrzeżenie z rąk techników „Stomilu". Tłusta plama bulgocze na krawędzi pokrywy lodowej: olej znacznie lżejszy od wody utrzymuje się na powierzchni, ale od uderzeń w oblodzone brzegi, wtłaczany pod lód i wypychany z powrotem, traci swą spoistość, rozbija się na drobne cząstki i przenika do wody.

Mniej więcej na środkowym odcinku rzeki między Rzochowem i Mielcem kilkunastu pracowników ujęcia wodnego toczy bohaterskie boje z olejem. Tuż przed wlotem wody do stacji filtrów ustawiają powierzchniowe przegrody z desek, które zdolne są zatrzymać najgrubszą frakcję oleju pływającego wokół po powierzchni rzeki, lecz są bezsilni wobec drobinek rozpuszczonych w wodzie. Mimo wysiłków służby wodociągów na strzeżonej pilnie płaszczyźnie zawsze pływa cienka warstewka i wesoło opalizuje w słońcu. Beznadziejną pracę służby z wo-

dociągów czujnie obserwują fotoreporterzy; co jakiś czas, któryś z nich pyka banalne ujęcie i odchodzi na stronę. Fotoreporterzy wahają się, nie bardzo wiedząc gdzie skoncentrować uwagę: czy na bohaterskich próbach ratowania wodociągu miejskiego, czy też raczej skoncentrować się na czynnościach saperów, przystępujących właśnie do wysadzania lodowego zatoru przy pomocy kostek trotylu. Spryt zawodowy każe im raczej pilnować wodociągów, bo przecież wiedzą, że kruszenie potężnego zatoru będzie musiało potrwać co najmniej kilka tygodni i być może nie skończy się przed nadejściem wiosennych roztopów. Z aparatami fotograficznymi zawsze gotowi do strzału, fotoreporterzy kręcą się wokół ujęcia wody i najniespodziewaniej wszyscy rzucają się do ataku: jakiś mały ptak, a może i wróbel (ptak jest coraz bardziej oblepiony gęstym mazidłem i traci prędko cechy gatunkowe), nieopatrznie usiadł na krawędzi lodu wymazanego olejem, pozlepiał pióra na skrzydłach i teraz nie jest zdolny do odlotu. Co i raz podejmuje rozpaczliwy wysiłek wzbicia się w powietrze i za każdym razem ponosi klęskę. Fotoreporterzy robią zbliżenia: no tak — wróbel, bądź szpak, ginący w plamie olejowej to już jest jakaś metafora dla naszych zwiędłych wyobraźni.

Co jakiś czas pracownicy wodociągów pobierają z rzeki i z najbliższego sąsiedztwa powierzchniowego ujęcia wody pitnej tak zwane próbki reprezentatywne. Właściwie z góry można przewidzieć wyniki analiz; w najlepszym razie stężenie będzie przekroczone stokrotnie, w najgorszym — tysiąckrotnie. Analizy nie mają żadnego praktycznego znaczenia, lecz próbki trzeba odsyłać do laboratorium, bo taki jest regulamin służby. W pewnej chwili mężczyzna odziany w futrzaną czapkę i krótki kożuszek, który

dotychczas trzymał się na uboczu, zwraca uwagę chłopakowi zanurzającemu czerpak, że wedle przepisów próbkę należy pobierać z głębokości pięćdziesięciu centymetrów. „Zbieracie tu samą śmietanę, to co płynie po wierzchu, a trzeba probierz zanurzyć głębiej" — powiedział i od razu wszyscy wiedzieli, że przysłano go tu z Dębicy, zainteresowanej najniższymi rezultatami analiz. Ludzie patrzyli na niego z nieukrywaną wrogością w oczach, wprawdzie nie mógł być sprawcą całej tej hecy olejowej, bo główny winowajca, jak doniosły poranne gazety, został już aresztowany, lecz przecież reprezentował miasto położone w górnym biegu rzeki, skąd w stronę Mielca płyną każdego dnia najrozmaitsze nieczystości.

Mężczyzna w kożuszku zachowywał się godnie mimo docinków, przyjmował czelnie wszystkie ataki i trwał na swoim stanowisku obserwacyjnym.

Podszedłem doń, przedstawiłem się grzecznie.

— Pierzchała, szef służby utrzymania ruchu w „Stomilu" — zaprezentował się.

— I co pan sądzi o tym wszystkim?

— Myślę, że to jest skandal dużej miary, ale wina nie jest po naszej stronie.

— ? — postawiłem wzrokiem znak zapytania.

— Nam przytrafiło się usmarkane nieszczęście, po prostu w nocy uciekł nam olej, ale to co tutaj się dzieje, to jest cyrk. No popatrz pan — inżynier Pierzchała posiągnął mnie w stronę krawędzi zatoru. — Oni dopuścili do tego, żeby rzeka zamarzła im przy samym ujęciu wody dla wodociągów. Dopiero jak ich zawiadomiliśmy, że w stronę Mielca płynie olej pod lodem, to zaczęli kruszyć zator trotylem. I nie wiem po co czekali aż z Gdańska przyjadą specjaliści ochrony środowiska, bo przecież te przegrody z desek i barierę powierzchniową z mat

słomianych nasyconych diatomitem, mógł od razu ustawić każdy głupek.

— Więc wy tam w Dębicy uważacie się za niewiniątka?

— Nic takiego, skądże. Zrobiliśmy pod siebie, nie ma co mówić. Ale nie byłoby takich szkód i takich niewygód, gdyby tutaj wykonano co trzeba. Czy tak ma wyglądać ujęcie wody dla czterdziestotysięcznego miasta? Mają zbiornik rezerwowy, który starcza im dokładnie na cztery godziny. A powinien być zbiornik sto razy większy. Tu zawsze mają kłopoty z wodą, nie trzeba oleju, bo i bez tego woda jest poza klasą i nie nadaje się do picia.

— Naczelnik powiedział mi, że tutejsza gospodarka komunalna jest niedoinwestowana. Oni nawet nie mają łódki, żeby wypłynąć w czymś na rzekę.

— Ja mogę łódkę kupić z własnych oszczędności, mnie na to stać. Mielec teraz narobił potwornego hałasu. Oni chcą wytargować środki na inwestycje wodociągowe. Te inwestycje są naprawdę niezbędne, były już niezbędne dwadzieścia lat temu. Ale przez ten cały hałas u nas aresztowano głównego energetyka jak jakiegoś kryminalistę.

— Jeżeli ktoś przejedzie człowieka przez nieostrożność — też idzie do kryminału.

— Tak, ale idzie do kryminału za to, co zrobił. A Madejskiemu postawiono zarzut z paragrafu sto czterdzieści kodeksu karnego. — Inżynier Pierzchała sięgnął do wewnętrznej kieszeni po karteczkę. — „Kto sprowadza powszechne niebezpieczeństwo dla zdrowia lub życia podlega karze od lat dwu do piętnastu." A jakie olej stanowi niebezpieczeństwo dla życia? To był olej M-40, czyściutki, klarowny, tego można wypić pół litra i najwyżej dostanie się nudności. Wyliczyli mu straty na trzynaście milionów; za to też beknie, choć to są liczby fałszywe. Budow-

nictwo wyliczyło sobie osiemset tysięcy strat za cztery dni przestoju z braku wody. Na te cztery dni to oni chyba zaplanowali sobie jakiś atak na rekord, bo gdyby tak pracowali w inne dni, to wyrabialiby pięćset procent rocznego planu, a nie czterdzieści jak w zeszłym roku.

Inżynier Pierzchała spojrzał na zegarek i nagle zaczął się spieszyć. Zdążył jeszcze zaprosić mnie do siebie w Dębicy z obietnicą ujawnienia rewelacyjnych dokumentów i niemal pobiegł w stronę samochodu. Zostałem jeszcze nad brzegiem rzeki w oczekiwaniu na jakieś nadzwyczajne zdarzenie. Z dala dochodziły odgłosy saperskiej kanonady: wdrapując się na spiętrzony lód bądź też opuszczając się bezpiecznie z pokładów helikopterów, żołnierze układali pakiety trotylu, podejmując heroiczną próbę rozkruszenia zatoru. Wedle oceny dowódcy ta palba potrwa jeszcze co najmniej dwa tygodnie. W powietrze pójdą tysiące kilogramów materiału wybuchowego, ale nie czas żałować trój-nitrotoluenu, skoro od usunięcia zapory lodowej zależy zdjęcie z Mielca zmory posuchy.

*

Olej jest dobrą rzeczą, gdy w głowie: wypuszczony do rzeki traci na wartości i gotów jest sprowadzić „powszechne niebezpieczeństwo dla życia i zdrowia". Po skandalicznym zanieczyszczeniu Wisłoki olejem maszynowym w dniu 7 lutego, opinia mieszkańców ziem położonych nad rzeką została usatysfakcjonowana ogłoszoną w dniu 12 lutego decyzją władz prokuratorskich o tymczasowym aresztowaniu głównego energetyka Dębickich Zakładów Opon Samochodowych. Z przyczyn całkowicie zrozumiałych satysfakcja w dolnym biegu rzeki była wyższa, niż w górnym.

Wedle jednolicie brzmiących komunikatów prasowych w toku dochodzenia ustalono, „że jednym z głównych winowajców, który mógł zapobiec przedostaniu się oleju do rzeki był główny energetyk DZOS „Stomil" inż. Edward M. i że „ustala się dalsze odpowiedzialne za ten wypadek osoby." Wielkie tytuły na pierwszych stronach oznajmiły „Główny winowajca aresztowany", „Śledztwo ujawnia winnych". W owych tytułach zawierał się drobny, lecz istotny lapsus językowy: śledztwo może ujawnić co najwyżej podejrzanych, nie zaś winowajców, albowiem w naszym ustroju prawnym o winie orzeka sąd niezawisły, a nie jedna ze stron procesowych, jaką jest oskarżyciel publiczny. Dzieje się nie najlepiej kiedy o winie orzekają dziennikarze.

Jest właściwością ludzkiego charakteru, że w sytuacji kiedy zdarzyło się już nieszczęście i są wielkie straty, człowiek skłonny jest raczej zastanawiać się nad tym, kto tu najsrożej zawinił, niż kombinować, jak na przyszłość obronić się przed podobnymi przygodami. Echa wydarzeń w Mielcu odbiły się szerokim echem w całym kraju. Na różnych piętrach administracyjnej hierachii w tonacji gniewnej dyskutowano o „elementarnym braku ostrożności" i niskiej odpowiedzialności ludzi techniki. Trudno dojść jak to się stało naprawdę, lecz wszystkie cechy prawdopodobieństwa ma wersja krążąca uporczywie po Dębicy. Z centralnych ośrodków dyspozycji przyszedł ponoć do Tarnowa telefonogram, że z tą aferą olejową trzeba koniecznie coś zrobić, że należy wykryć i ukarać winowajców. Ta słuszna w ogóle myśl, schodząc szczeblami w dół aż do Dębicy, przekształciła się w imperatyw kategoryczny: należy głównych sprawców skandalicznego wycieku zamknąć w areszcie.

Na naradzie u naczelnego dyrektora Dębickich

Zakładów Opon Samochodowych „Stomil" pojawili się dwaj mężczyźni noszący się po cywilnemu. W rękach mieli już teczuszkę zawierającą akta personalne głównego energetyka zakładów, mgr inż. Edwarda Madejskiego. Przeprosili grzecznie za naruszenie porządku obrad i wyjaśnili, że zmuszają ich do tego bardzo poważne okoliczności. Ponieważ przyczyny awaryjnego spłynięcia oleju Wisłoką rysują się nadal tajemniczo, muszą poprosić inżyniera Madejskiego do siebie celem wysłuchania wyjaśnień.

Inżynier Madejski nie powrócił już na naradę. Widziano go jeszcze w samochodzie osobowym w towarzystwie trzech innych mężczyzn, a potem zauważyli go przechodnie, kiedy z rękami spiętymi żelastwem wysiadał z auta przed dębickim posterunkiem Milicji Obywatelskiej. W mieścinie tak małej jak Dębica nic nie ujdzie uwadze wścibskich mieszkańców. Dostrzegą manewr nie przeznaczony dla ich oczu, podsłuchają rozmowę prowadzoną dyskretnie i na stronie. Ponieważ fizyczną niemożliwością jest zobaczenie i wysłuchanie wszystkiego, mieszkańcy Dębicy wszelką wiedzę zdobytą na zasadzie empirii muszą uzupełniać zręcznymi hipotezami. I tak rodzi się plotka stugębna, która z wolna ogarnia wszystkie umysły i na koniec staje się obowiązującą prawdą.

Jeszcze w dwa dni po aresztowaniu głównego energetyka „Stomilu", kiedy prasa codzienna, radio i telewizja podały już oficjalną wersję wypadków, przez Dębicę przepływała fala nabzdurniejszych domysłów o prawdziwości zaświadczanej słowem honoru. W restauracji „Syrena" kelner opowiada, jak to główny energetyk „Stomilu" po całonocnym piciu przyszedł do pracy nieco później niż zwykle i jeszcze na lekkiej bani. Kiedy dowiedział się, że w oczyszczalni ścieków pojawił się olej maszynowy,

całkiem zgłupiał. Zamiast od razu zamknąć zastawki i nie dopuścić do przelania się oleju w nurt rzeki, zaczął kombinować co to się stało, skąd olej mógł wypłynąć. Tak długo bawił się w detektywa, że aż zapomniał uprzedzić wodociągi w Mielcu, że właśnie w ich stronę płynie cuchnące mazidło. Tłusta woda popsuła wodociągi, zanieczyściła filtry tak, że trzeba było wszystko zamknąć na cztery dni. Kelner z „Syrenki" zaczerpnął swoją wiedzę w pierwszej ręki, bo jego siostra pracuje w dyrekcji „Stomilu".

Opowiadania kelnerów, sprzedawczyń i fryzjerów mają zawsze swój wdzięk. Zawierają zwykle ziarno prawdy i całą resztę zmyślenia, ale nie są niebezpieczne, bo słuchacz z góry ma prawo zakładać ich niewiarygodność. Gorzej, gdy niewiedzę rozpoznają osoby urzędowe.

Naczelnik miasta Dębica mówi o potrzebie wybudcwania zbiorczej oczyszczalni ścieków dla gospodarki komunalnej i dla wszystkich dębickich przedsiębiorstw przemysłowych. Koszt inwestycji wyniesie około 200 milionów, ale rzecz się opłaci, choćby ze względu na poprawę czystości wód w dolnym biegu Wisłoki i przy ujściu do Wisły. „Stomil" wprawdzie ma oczyszczalnię własną, lecz tylko mechaniczną. To urządzenie, w gruncie rzeczy, wystarczyłoby do wyłowienia oleju, który awaryjnie wyciekł z cysterny na bocznicy, ale główny energetyk, nie wiedzieć czemu, wyłączył oczyszczalnię dopiero około godziny dziesiątej, zamiast uczynić to o przynajmniej trzy godziny wcześniej. „I wie pan, to jest trochę komiczne" — mówi naczelnik. — Wiadomo, że energetyk przy obronie rzeki nie popisał się, ale do dziś nie można ustalić, kto puknął w cysternę i uszkodził przewód."

A więc, według słów naczelnika, błąd głównego energetyka polegał na zbyt późnym zamknięciu za-

stawek. Jak to się później okaże, owo mniemanie jest całkowicie błędne, lecz na usprawiedliwienie ojca miasta trzeba powiedzieć, że swą wiedzę na temat winy głównego energetyka zaczerpnął z gazet, a wszakże słowo pisane zasługuje na szczególną wiarę.

Jednakże bezpośrednim sprawcą odcięcia Mielca od wody pitnej i wody technologicznej przeznaczonej dla potężnego przemysłu, niezależnie od jakości obrony oczyszczalni w wykonaniu ekipy głównego energetyka, był ktoś, kto podczas przetaczania wagonów puknął w cysternę na stałe zakotwiczoną na bocznicy i połączoną elastycznymi przewodami z potężną maszyną do mieszania masy gumowej.

— W tym Stomilu to musi być niezły pieprznik — powiada sprzedawczyni w kiosku ruchu. — Teraz prokurator nie może ustalić nazwiska maszynisty. Nikt się nie przyznaje!

— A co też pani gada! — protestuje mężczyzna o wyglądzie co najmniej brygadzisty, a może nawet mistrza, niewątpliwie pracownik Stomilu. — Wystarczy zajrzeć do księgi. Ci kolejarze muszą zapisywać każdy ruch lokomotywy, każde przesunięcie wagonu na torach. W cysternę ustawioną na bocznicy puknął Edek Juchno, pomagali mu w tym dwaj przetokowi, Stanisław Kizior i Kazimierz Augustyn. A na wszystko popatrywał z boku instruktor kolejowy, Włodek Jasiński.

Gazety stołeczne nigdy nie miały w Dębicy takiej poczytności, jak teraz po awarii. Ludzie szukają nowych, dokładniejszych informacji i znajdują.

Gazety podały funkcję aresztowanego, przemilczając jego nazwisko i imię. Siła doniesień prasowych byłaby jednak znacznie większa, gdyby powiedziano, że główny energetyk ma na imię Edward, a na nazwisko Madejski i że jest wzorowym ojcem

dwojga dzieci w wieku szkolnym oraz jednego niemowlęcia. Przed konsekwencjami prawnymi czynów nie chroni ani wielkość firmy, ani potęga stanowiska i nawet trudna sytuacja rodzinna jest tu bez znaczenia.

Przyjęty w dziennikarstwie zwyczaj zatajania nazwisk oskarżonych jest dobry w przypadku pijanego awanturnika, malwersanta bądź też innego domniemanego złoczyńcy. Ten sam zabieg wobec osoby głównego energetyka wypada nieco minoderyjnie. Główny energetyk dębickiego „Stomilu" jest jeden, w Dębicy znają go wszyscy, a odpowiadać będzie przed sądem nawet nie za spowodowanie awaryjnego wycieku oleju z cysterny użytkowanej jako magazyn, lecz jedynie za błąd w sztuce inżynierskiej, popełniony podczas akcji ratunkowej, którą osobiście dowodził.

Mgr inż. Edward Madejski stanie przed sądem, bo nie potrafił w całości zatrzymać oleju przed spłynięciem do rzeki. Sąd jego czyny rozpatrzy i rozważy, a potem skarze na więzienie lub uniewinni. Jednakże zanim zdołali się wypowiedzieć eksperci i biegli sądowi, prasa już określiła błąd inż. Madejskiego. *Istniały organizacyjne i techniczne możliwości zapobieżenia (...) — zatruciu rzeki — stwierdziło m. in. „Życie Warszawy" — ok. 20 ton oleju, który wyciekł z cysterny-magazynu dębickiego Stomilu dostało się połączeniami kanalizacji burzowej wpierw do zakładowej mechanicznej oczyszczalni ścieków i dopiero do rzeki. Fakt wycieku oleju z cysterny zauważono w zakładach 7 bm. o godz. 6 rano. Jednakże urządzenia wylotowe oczyszczalni ścieków zamknięto dopiero o godz. 10. Gdyby uczyniono to wcześniej, skutki zanieczyszczenia rzeki byłyby znacznie mniejsze.*

Osądzenie człowieka jest czynnością z istoty hu-

manistyczną i fakt, że osądza się inżyniera za czynności techniczne, niczego tu nie zmienia. Technika, niestety, posunęła się w dzisiejszych czasach tak daleko, że humanista jest wobec niej bezradny jak dziecię. W twardym osądzie dziennikarza zawiera się kosmiczna bzdura, że aż zabraknie przestrzeni, aby dokładnie objaśnić na czym ona polega.

Zamknięcie urządzeń wylotowych bez zamknięcia urządzeń wlotowych oznaczałoby zatopienie oczyszczalni ścieków wodami chłodniczymi płynącymi z elektrociepłowni i brudnymi wodami kolektora głównego, który transportował właśnie wielkie ilości oleju. Elektrowni nie da się raptownie zatrzymać bez zniszczenia najistotniejszych urządzeń, podobnie rzecz się ma z innymi ciągami technologicznymi, dla których woda jest niezbędna. Z zatopionej oczyszczalni cały olej musiałby przedostać się wierzchem do rzeki płynącej nieopodal. Jeżeli zamyka się wylot oczyszczalni — trzeba zamknąć również wlot, a wówczas ścieki Stomilu bez mechanicznego nawet oczyszczenia, muszą płynąć bezpośrednio do Wisłoki. Na upust zwykłych ścieków nie oczyszczonych trzeba mieć zgodę Urzędów Wojewódzkiego, na upust ścieków transportujących wielkie ilości oleju zgody udzielić nikt nie może.

Inżynier Madejski wraz z zespołem towarzyszących mu specjalistów podjął jedyną możliwą decyzję. Starał się jak najwięcej oleju zgromadzić w zbiorniku oczyszczalni. W momencie kiedy kożuch oleju groził przelaniem przez przegrodę rozpoczął przepompowywanie nieoczyszczonych ścieków spod kożucha do pobliskich odstojników i przywołał na pomoc beczkowozy Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta do odbioru oleju gromadzącego się na powierzchni. Na zamknięcie oczyszczalni, a tym samym bezpośredni zrzut nie oczyszczonych

ścieków „Stomilu" do Wisłoki, zdecydował się dopiero w momencie, kiedy kolektor główny przestał transportować olej. Około godziny jedenastej, po stwierdzeniu, że kolektorem płynie druga partia oleju, uruchomił oczyszczalnię ponownie. Działając w ten sposób inżynier Madejski wychwycił z oczyszczalni ponad dwadzieścia ton oleju M-40. Do rzeki uciekło mu jednak około trzech ton.

*

Żeby zrozumieć na czym polegała awaria, trzeba cofnąć się w czasie aż do 1977 roku, kiedy to na wysokim szczeblu zapadły decyzje racjonalizujące produkcję opon i dętek w Polsce. Sytuacja w transporcie była katastrofalna, w okresach szczytowych około dwudziestu tysięcy samochodów nie opuszczało baz z braku opon bądź dętek, stały traktory i maszyny budowlane. Postanowiono przeto skoncentrować produkcję opon do samochodów ciężarowych, a zwłaszcza opon wielkowymiarowych do traktorów i maszyn budowlanych, w Olsztynie. W tym celu należało z wytwórni olsztyńskiej zdjąć obowiązek wytwarzania dętek. I wówczas inżynierowie z dębickiego Stomilu zadeklarowali, że oni byliby w stanie przyjąć kłopot na głowę i nie przewrócić się pod tak wielkim ciężarem.

Ruszyła budowa wytwórni dętek w Dębicy, wybudowano nowe hale, skompletowano maszyny, ustawiono technologię jak się należy i tylko zabrakło zdolności produkcyjnych w przygotowywanie mieszanek gumowych, żeby Dębica mogła osiągnąć założoną wielkość produkcji. Nikt do tego inżynierów dębickiego „Stomilu" nie zmuszał, nikt nie wymagał od nich aż tak wiele; to oni sami wpadli na pomysł, żeby w hali starego magazynu wybudować własnym przemysłem i prywatną koncepcją insta-

lację do wytwarzania mieszanki butylenowej. Mikser, potężne jak kamienica urządzenie produkcji firmy Werner und Pffleiderer, wypożyczyli z Bełchatowa (gdzie urządzenie wartości dwu milionów dolarów przez dwa lata czekałoby na wybudowanie fabryki), ustawili transporter odbiorczy i kilka innych maszyn pomocniczych. Do pełnego szczęścia i zamknięcia linii brakowało już tylko zbiorników oleju maszynowego, stanowiącego komponentę mieszanki. Przedsiębiorstwo „Metalchem" z Kościany, jedyny praktycznie wykonawca tego rodzaju obiektów, stanowczo odmówił wybudowania zbiorników „z braku mocy".

Sytuacja prawie bez wyjścia. Jednakże inżynierowie „Stomilu" jeszcze raz wytężyli mózgi i do spółki z poznańskim Biurem Projektów Przemysłu Chemicznego opracowali projekt prowizorycznego magazynu oleju. Na bocznicy kolejowej w odległości kilkunastu metrów od hali miksera ustawili cysternę, otulili ją srebrzystym pancerzem w obronie przed zimowymi chłodami, zabezpieczyli przed przesunięciem kozłami oporowymi. Następnie zaś ów prowizoryczny magazyn połączyli elastycznym przewodem z budyneczkiem przepompowni i z resztą instalacji miksera.

Produkcja ruszyła, pełne zdolności osiągnięto w rewelacyjnie krótkim terminie. Przez trzy miesiące inżynier Stanisław Rusin chodził jak paw, dumny z własnych osiągnięć inżynierskich i podniesiony na duchu finansową nagrodą. Jednakże szczęście trwało krótko. Któregoś dnia kolejarze rozpędzili się nadmiernie i puknęli w cysternę z wiadomym skutkiem.

Inżynier Józef Stróżyk — dyrektor naczelny „Stomilu" — jest głęboko poruszony całym tym nieprzyjemnym wydarzeniem. Mieli najlepsze chęci, na

dobrą sprawę taki prowizoryczny magazyn mógł bez pudła działać nawet kilka lat, ale zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, za który trudno winić kogokolwiek. Na ogromnym stole w gigantycznym gabinecie rozkłada rozmaite dokumenty, z których widać wyraźnie, że „Stomilowi" należą się podziękowania, a na taką nagonkę jaka teraz rozszalała się w prasie, to naprawdę „Stomil" sobie nie zasłużył.

— Przepraszam pana, dyrektorze — zmieniłem gwałtownie temat. — Ale inżyniera Madejskiego zwinięto wam z narady i wychodzi na to, że w areszcie siedzi Bogu ducha winien człowiek.

— Dlaczego uważa pan, że Madejski jest niewinny? — spytał dyrektor zaskoczony.

— Bo to co wypisują w gazetach o przyczynach aresztowania jest całkowitym nonsensem technicznym. Gdyby Madejski wcześniej zamknął oczyszczalnię, jak tego chcą dziennikarze, dopiero wówczas byłby klops!

— No tak, jest w tym trochę racji. Ale awaria zdarzyła się, uciekł nam olej i ktoś za to musi ponieść karę. Po to mamy w zakładach głównego energetyka, żeby już on pilnował interesu tak, aby nic przykrego nie mogło się zdarzyć. On powinien tak dobrać sobie ludzi i tak ich nakręcić, żeby sam mógł być spokojny.

Opuściłem gabinet dyrektora Stróżyka z mieszanymi uczuciami i z bałaganem w mózgu. W szczegółach to inżynier Madejski nie jest winny, nie popełnił błędu i dzielnie bronił oczyszczalni, lecz w ogóle... Może właśnie aresztowano go za brak nadzoru ogólnego? Jak dziecko zaplątane przez przypadek w świat techniki i przepisów prawnych, byłem bezradny i głupi. Do kogóż to udać się po oświatę? Na szczęście przypomniałem sobie nazwisko inżyniera Pierzchały.

Szefa służby utrzymania ruchu odnalazłem bez trudu, korzystając z pomocy telefonistki. Po sekundzie zjawił się w gabinecie naczelnego. Wsadził mnie do samochodu i zawiózł w rejon miksera nr 9, gdzie na bocznicy stała nieszczęsna cysterna-magazyn, a potem zaciągnął do oczyszczalni ścieków. Wyjaśnił szczegóły techniczne i kolejno opisywał czynności Madejskiego, żebym jako reprezentant ośrodków opiniotwórczych mógł sobie wyrobić własne zdroworozsądkowe zdanie o całkowitej niewinności głównego energetyka. Dopiero, kiedy już powiedziałem: „No tak, do Madejskiego nie można mieć najmniejszych pretensji", pokazał mi opinię ekspertów ochrony środowiska. Opinia było trudna w lekturze, zawierała w sobie fachowe wywody ciężkie do zrozumienia dla laika, lecz istotna jest przecież konkluzja:

Wszystkie kolejne czynności Madejskiego przy usuwaniu awarii były prawidłowe z inżynieryjnego punktu widzenia, a uzyskany efekt — optymalny!

Inżynier Pierzchała całkowicie przekonał mnie o niewinności swojego kolegi, obrońcy oczyszczalni. Ale nie wykluczone przecież, że aresztowano go za brak nadzoru ogólnego: inżynier Madejski tak powinien kierować pracą ludzi z działu wodno-ściekowego, żeby uchronić się od wszelkich niespodzianek.

— Gdyby w ten sposób rozumować, to każdy z nas jest winny — zareplikował inżynier Pierzchała. Dyrektor naczelny też powinien tak sobie dobierać kierowników poszczególnych służb, żeby nie było fuszerki. Zresztą Madejskiemu brakowało ludzi, nie dawano mu ludzi mimo wielu próśb. Na to też są dokumenty.

Nie trzeba jednak być szczególnie bystrym obserwatorem naszego życia przemysłowego, aby wie-

dzieć, że co jak co, ale dokumenty to u nas są na wszystko, i że istnieją takie dziedziny, w których tylko do dokumentów nie można się przyczepić. Ludzie wycwanili się i zbierają sobie podkładki: „Cóż wy ode mnie chcecie, prosiłem was o te kilka etatów, nie daliście, to teraz macie efekt."

Z dokumentów niewiele można dowiedzieć się o rzeczywistości fabrycznej. Gdyby wierzyć dokumentom, to do wypadku w „Stomilu" w żadnym razie nie mogło dojść, albowiem w papierach bocznica kolejowa, na której ustawiono cysternę-magazyn olejowy, w ogóle nie istnieje. Bocznicę owszem wybudowano, lecz nie przyjęła jej jeszcze do eksploatacji komisja odbioru, a skoro komisja nie przyjęła, to niedopuszczalne jest ustawienie na niej jakichkolwiek jednostek taboru, a cóż dopiero cystern z materiałem tak niebezpiecznym jak olej maszynowy.

A gdyby tak spytać dokumenty, kto właściwie jest właścicielem owej cysterny, to czegóż byśmy dowiedzieli się? Że nie tylko nie ma bocznicy kolejowej, ale również, że nie istnieje cysterna, bowiem obiekt ów nie jest przypisany służbowo ani do instalacji miksera nr 9, ani do działu gospodarki surowcowej. Cysterna nigdy nie istniała według dokumentów, a przecież mimo tego rodzaju niematerialności przez trzy bite miesiące dostarczała surowca do mieszanek butylenowych, przyczyniając się do naprawdę dużego sukcesu przedsiębiorstwa „Stomil".

Dla dobra śledztwa należałoby zaniechać wszelkich czynności dochodzeniowych wokół działu gospodarki wodno-ściekowej i zainteresować się genialną prowizorką instalacji miksera numer dziewięć. Dla dobra sprawy, dla tych setek tysięcy dętek, na które z łapczywością w oczach spoglądają państwo-

wi i prywatni odbiorcy, ominięto bądź połamano istniejące przepisy branżowe. Działając w niesamowitym pośpiechu ze słuszną skądinąd intencją, borykając się z niemocą wyspecjalizowanych wykonawców itp. itp., osiągnięto stan, który od zarania groził awarią: jeśli nie wyciekiem oleju do rzeki, to drobnym pożarem choćby.

Więc pędzę jak wicher do Prokuratury Rejonowej, przekonany o rewelacyjności materiałów, które udało mi się zebrać. Już na schodach, gdzie zderzyłem się niemal z wiceprokuratorem, zostałem zmrożony. Tutaj dla dobra śledztwa nie rozmawia się z dziennikarzami. Nikt nie chce mnie słuchać, ale może mógłbym chociaż dowiedzieć się, za co aresztowano Madejskiego? „Pod zarzutem z artykułu 140" — odpowiedziano mi esencjonalnie. Pokrętnymi i mrocznymi kanałami udało mi się jednak poznać treść zarzutu. Brzmiała ona jak następuje:

Dnia 7 lutego 1979 jako główny energetyk DZOS Stomil w Dębicy, odpowiedzialny za gospodarkę wodno-ściekową, będąc w związku z tym poinformowany o godz. 6.30 o awaryjnym wycieku oleju maszynowego i o przypływie dużej jego ilości z oczyszczalni mechanicznej do rzeki Wisłoki, wbrew ciążącemu obowiązkowi nie podjął bezzwłocznej czynności zmierzającej do zatrzymania tego oleju, przez co spowodował powszechne niebezpieczeństwo zanieczyszczenia wody w rzece Wisłoce i unieruchomienie wodociągów w odległym o kilkadziesiąt kilometrów Mielcu, a przez to zagrożenie dla zdrowia i życia jego mieszkańców oraz wyrządził duże straty w gospodarce narodowej.

Więc jednak nie „brak nadzoru ogólnego", lecz błąd polegający na „niepodjęciu bezzwłocznej czynności zmierzającej do zatrzymania oleju". Możliwe, że prokurator prowadzący dochodzenie nigdy nie

widział oczyszczalni w działaniu, ale kto w takim razie zasugerował mu winę Edwarda Madejskiego? Madejski mógł mieć w zakładach jakichś swoich naturalnych wrogów, którzy tylko czekali na sytuację sposobną, żeby go wrobić. Mógł mieć też wrogów sztucznych, zrodzonych w pełnej napięcia sytuacji awaryjnej, kiedy to każdy wplątany jakoś w historię olejową boi się, że pytania będą zadawać właśnie jemu.

Prokuratura rejonowa okazała się niewładna ani do udzielenia dziennikarzowi szczegółowych wyjaśnień o przyczynach aresztowania, już teraz oczywiście omyłkowo zatrzymanego człowieka, ani też nie mogła udzielić zezwolenia na widzenie z tymczasowo aresztowanym. Natomiast Prokuratura Wojewódzka w Tarnowie odmówiła wyjaśnień i widzenia, ponieważ tego właśnie wymaga „interes śledztwa".

Nie będąc przekonanym, czy interes śledztwa jest wartością wyższą niż interes człowieka aresztowanego w zbytnim pośpiechu i bezzasadnie, wsiadłem w pociąg i już nazajutrz zapukałem do wrót Prokuratury Generalnej w Warszawie. Wyłożyłem racje przemawiające na korzyść Madejskiego, lecz przerwano mi grzecznie. Rzeczywiście, sprawy mają się tak, jak mówię. W toku śledztwa pomyłka wyszła na jaw — Madejski będzie zwolniony

* * *

Główny energetyk przepadł w areszcie, co jest przykre dla każdego człowieka, a szczególnie dla kogoś, kto nigdy przedtem z organami ścigania nie miał do czynienia. Jednakże wszyscy jego współpracownicy i koledzy z zakładów wiedzieli, że aresztowano go przez koszmarną pomyłkę. Prokurator miał do niego podstawową pretensje o to, że zamknął urządzenia

wylotowe oczyszczalni dopiero po upływie trzech godzin i trzydziestu minut, od chwili zawiadomienia o awarii, albowiem prokurator niesłusznie żywił przekonanie, że wcześniejsze zamknięcie wylotu pozwoliłoby zmniejszyć zanieczyszczenie rzeki.

Każdy młokos z wydziału głównego energetyka zdawał sobie sprawę, że inżynier Madejski wraz z zespołem towarzyszących mu specjalistów, podjął jedyną możliwą decyzję.

Może to rzecz naganna, a może świadectwo pięknej solidarności zawodowej, lecz po aresztowaniu Madejskiego nikt już nie zgodził się objąć stanowiska głównego energetyka. Etat, do którego przywiązana jest najwyższa odpowiedzialność za prawidłowe funkcjonowanie zakładowego krwioobiegu pozostał nie obsadzony. Nie oznacza to, że nikt nie dbał o właściwą prężność pary i rytmiczne dostawy innych mediów technologicznych — znaleźli się tacy, co już o to zadbali. Lecz robili to gratis, jakby w zastępstwie aresztowanego kolegi, pozostawiając gażę głównego energetyka w urągliwym spokoju.

Wprawdzie nie ma to nic do rzeczy i pozostaje w luźnym jedynie związku ze stroną prawną afery olejowej, lecz pracownicy wydziału głównego energetyka generalnie lubili swojego szefa.

— Był taki chłop, że można się było z nim dogadać — mówi młody chłopak, przedstawiony mi jako aktywista ZSMP. — Człowiek przy nim zawsze wiedział czego się trzymać, a to w naszej robocie najważniejsze.

— Madejski jest bez zarzutu — rekomenduje swojego przełożonego majster z elektrociepłowni. — Nikt przy nim nie miał krzywdy. Czasami nakrzyczał, ale tak musi być. Robota szła, aż miło. Tej zimy, co wszystkim sypało się ciepłownictwo, myśmy

pracowali na zwykłych obrotach, bez pięciu minut przerwy, tak byliśmy do sezonu przygotowani.

Załoga lubiła Madejskiego, bo był, jak to się mówi, jednym z nich. Przyszedł do pracy w dziewiętnastym roku swojego życia, od razu po ukończeniu technikum mechanicznego. Może nie robił błyskotliwej kariery, lecz systematycznie wspinał się po szczebelkach. I widać spisywał się dobrze, skoro „Stomil" w nagrodę za „rzetelną pracę i aktywność społeczno-polityczną" wysłał go na studia w Politechnice Krakowskiej. Ukończył kurs inżynierski na wydziale energetycznym z dobrymi ocenami, następnie przeszedł z identycznym efektem kurs magisterski. Uczył się i solidnie pracował.

Właściwie całe dorosłe życie Madejskiego związane było z dębickim „Stomilem". Tu ożenił się, otoczył trójką dzieci. Mieszkanie dostał, ma się rozumieć, zakładowe. Nie był inżynierem obdarzonym szczególną błyskotliwością i jako ojciec dzieciom nie miał skłonności do podejmowania jakichś nadzwyczajnych, ryzykownych przedsięwzięć, ale może właśnie dzięki temu był po prostu jakby stworzony do zajęć rutynowych, które przede wszystkim są udziałem głównego enrgetyka: na jego solidność zawsze można było liczyć.

Pracownicy pionu głównego energetyka odebrali aresztowanie Madejskiego jako bolesne nieporozumienie. Zdarzyło się pewnego razu, że kilku reprezentantów młodzieży fabrycznej weszło bez zaproszenia na obrady Rady Zakładowej. Wyłożyli co im na sercu leży, choć nikt nie udzielił im głosu. Mówili przy tym, jak to młodzi, wysokim tonem wpadając w podniecenie tym większe im dłużej i głośniej mówili. Sens ich wizyty był mniej więcej ta-

ki: jeżeli Rada Zakładowa nie zrobi czegoś dla uwolnienia Madejskiego z aresztu, to oni nie są pewni, czy im się chce pracować. Są winni w stopniu nie mniejszym, niż ich szef, a skoro tak, to proszę o wsadzenie ich wszystkich za kraty.

Może to był skutek interwencji krewkich młodzieńców, a może ów pomysł zrealizowano by i bez tego, w każdym razie Rada Zakładowa „Stomilu" w porozumieniu z Komitetem Zakładowym i przy poparciu dyrekcji, wystąpiła o warunkowe wypuszczenie Madejskiego z aresztu, udzielając podejrzanemu społecznego poręczenia i wyznaczając dlań dwu społecznych kuratorów.

Dzięki owemu poręczeniu, jakby za kaucją, Madejski wyszedł na wolność. Równie dobrze mógłby wyjść na wolność z tej przyczyny, że zarzut, na podstawie którego został aresztowany, okazał się bezpodstawny, lecz to już ma znaczenie wyłącznie formalne.

— W ludziach narastał protest — powie później sekretarz zakładowej organizacji partyjnej Stanisław Ziaja. — Aresztowano Madejskiego, który słynął w zakładach z całkowitego oddania robocie. I wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie popełnił żadnego błędu, co zresztą od razu, w kilka dni po awarii, potwierdziła ekspertyza. Cała organizacja młodzieżowa z działu Madejskiego ustawiła się bokiem do świata. Ludzie przychodzili do Komitetu Zakładowego i do Rady Zakładowej prosić o interwencję. Ale przecież organizacja partyjna nie jest powołana do takich interwencji. Zrobiliśmy wszystko co było można, ażeby jak najszybciej wyciągnąć Madejskiego z aresztu. Bo po pierwsze, jego wina była co najmniej wątpliwa, a po drugie to nie jest człowiek, który by uciekł. Daliśmy mu poręczenie społeczne i na tej podstawie prokurator go zwolnił.

I dobrze się stało, bo w zakładzie było już takie wrzenie, że nie można było po ludzku pracować.

*

Czas pracował i prokuratura rejonowa w Dębicy czyniła swoją powinność. Mozolnie toczyło się do przodu śledztwo w sprawie olejowej. Mijały wiosenne miesiące, kończyło się lato, lecz akt oskarżenia nie mógł być jeszcze odesłany do sądu. Przesłuchano blisko stu świadków, zasięgnięto opinii kilkunastu ekspertów z różnych dziedzin. Akta śledztwa spęczniały do pięciu tomów i kilkunastu teczek. I chociaż nadal „dla dobra śledztwa" szczegóły dochodzenia trzymano w ścisłej tajemnicy, to jednak powszechnie było wiadomo, że spadło zainteresowanie prokuratury dla samego przebiegu akcji obrony Wisłoki przed wyciekiem oleju, wzrosło zaś zaciekawienie cysterną i jej najbliższym otoczeniem.

W końcówce października otrzymałem wreszcie telegram wzywający mnie do Dębicy. Rozpoczyna się proces, na który wszyscy tak długo czekali! Wsiadłem do szalonego pośpiesznego Warszawa—Rzeszów, który planowo zatrzymuje się na stacji Dębica o godzinie szóstej trzydzieści. Pociąg przyśpieszał i zwalniał, raczej zwalniał niźli przyśpieszał: o godzinie jedenastej, siorpiąc lurowatą kawę w slipingu, rozpaczałem, że właśnie tracę z pola widzenia rzecz dla procesu najistotniejszą, inaugurację. Wszedłem do budynku Sądu Rejonowego z pięciogodzinnym opóźnieniem. Sala rozpraw była kompletnie pusta.

— To nic, że pan się spóźnił — pocieszyła mnie panienka z sekretariatu prezesa. Właściwie nie było sprawy. Prokurator odczytał tylko akt oskarżenia i wszyscy rozeszli się do domów. Ogłoszono przerwę, bo zachorował jeden z oskarżonych.

Skoro tak, to niewiele straciłem. W pokoiku sę-

dziów uprzystępniono mi akt, w którym o spowodowanie awarii i kilkunastomilionowych szkód oskarżono aż trzech inżynierów, kierowników potężnych wydziałów dębickiego „Stomilu". Na ławie oskarżonych zasiedli: Stanisław Rusin, kierownik działu montażowo-rozruchowego, Andrzej Juliusz Hosaja, kierownik zakładu numer jeden, któremu bezpośrednio podlegała instalacja miksera nr 9 i, oczywiście, Edward Madejski, kierownik wydziału energetycznego DZOS „Stomil" w Dębicy. Ponieważ Madejski w zbiorowym akcie oskarżenia znalazł się aż na trzecim miejscu, a porządku w tym dokumencie nie ustala się według kolejności alfabetycznej, można było domniemywać, że oskarżyciel publiczny najmniejsze pretensje ma do człowieka, który w związku ze sprawą olejową odcierpiał najwięcej.

Stanisław Sokołowski, wiceprokurator Prokuratury Rejonowej w Dębicy, oskarżył Stanisława Rusina o to, że jako kierownik Działu Montażowo-Rozruchowego DZOS „Stomil" w Dębicy, odpowiedzialny za rozruch mechaniczno-energetyczny mieszarki nr 9 wraz z instalacją olejową, lekceważąco potraktował swoje obowiązki. Wiele istotnych zmian, odbiegających daleko od dokumentacji technicznej owej instalacji, wprowadził bez uzgodnienia z właściwymi komórkami organizacyjnymi, nie wykonał dostatecznego zabezpieczenia cysterny — magazynu przed przesunięciem na torze, nie wydał wreszcie właściwych instrukcji obsługi urządzenia przekazywanego do eksploatacji. Zwłaszcza jedna z innowacji, wprowadzona już po przekazaniu całej instalacji miksera nr 9 do eksploatacji, miała groźne następstwa. Kiedy okazało się, że tankowanie oleju do magazynu cysterny zabiera zbyt wiele czasu, narażając firmę na płacenie tzw. osiowego za przetrzy-

mywanie cystern, oskarżony inżynier Rusin zmienił rury o małym przekroju na rury o przekroju dwakroć większym i dodatkowo zlecił przyspawanie do cysterny korytka stalowego, które zdolne byłoby utrzymywać w poziomie elastyczny przewód łączący cysternę z przepompownią. Właśnie ta innowacja sprawiła, że cała instalacja olejowa utraciła swą giętkość i odporność na wstrząsy, co po nie dość ostrożnym manewrze kolejarzy miało tak straszliwe konsekwencje.

Inżynier Andrzej Hosaja, kierownik Zakładu nr 1, któremu przypadła eksploatacja miksera nr 9 znalazł się na środkowej pozycji aktu oskarżenia, z czego ostrożnie można wnioskować, iż zdaniem prokuratora Sokołowskiego, był winowajcą mniej istotnym od inżyniera Rusina, lecz dla awarii miał zasługi większe niż Edward Madejski. Inżynier Hosaja, odpowiedzialny za prawidłową pracę instalacji miksera nr 9 nie zabezpieczył odpowiednio miejsca użytkowania magazynu-cysterny, nie zatroszczył się o prawidłowy system kontroli, ponadto nie wydał odpowiedniej instrukcji co do włączania i wyłączania instalacji olejowej. Brak szczegółowej instrukcji postępowania w przypadku awarii sprawił, że obsługa miksera nr 9 w krytycznym dniu zachowała się wręcz głupio; zamiast natychmiast zawiadomić odpowiednie służby zakładowe o awaryjnym wycieku, zajęła się pertraktacjami z magazynem surowca, prosząc o dostawę nowej porcji oleju. Nieporadne działania obsługi miksera opóźniły akcję ratunkową.

Oskarżyciel publiczny najłagodniej potraktował trzeciego oskarżonego, głównego energetyka „Stomilu" inżyniera Edwarda Madejskiego. Upadły już wszelkie podejrzenia o opieszałość i niewłaściwy przebieg samej akcji ratunkowej (eksperci o akcji tej wyrażali się w samych superlatywach), lecz pro-

kurator dopatrzył się wielu uchybień w rutynowej działalności głównego energetyka, któremu podlegała między innymi gospodarka wodno-ściekowa w całym przedsiębiorstwie. Zastrzeżenia aktu oskarżenia dotyczyły między innymi organizacji systemu lokalizowania zaburzeń w kanalizacji przemysłowej, instrukcji dla ogniw kontrolujących, sposobu wykonywania analiz średniodobowych i częstotliwości poboru prób. Największym jednak niedopatrzeniem inżyniera Madejskiego było *niezgłoszenie do protokołu odbioru instalacji olejowej linii mieszarki nr 9 żądania zablokowania studzienki kanalizacyjnej w związku z usytuowaniem obok niej cysterny, utwardzenia terenu i wybudowania w nim bezodpływowej studzienki przeznaczonej na magazynowanie przypadkowo rozlanego oleju.* Gdyby Madejski wysunął tego rodzaju żądania i gdyby na skutek tych żądań studzienkę kanalizacyjną zaślepiono, a obok niej wybudowano studzienkę-magazyn, awaryjny wyciek równałaby się tylko utracie iluś tam ton oleju i nigdy nie mogłoby dojść do zanieczyszczenia rzeki.

Na skutek przegięć i niedociągnięć w pracy trzech oskarżonych *w nocy z 6 na 7 lutego nastąpiło uszkodzenie instalacji i wyciek około trzech ton oleju do rzeki Wisłoki, przez co nieumyślnie spowodowali unieruchomienie działania wodociągów w odległym o kilkadziesiąt kilometrów 40-tysięcznym mieście Mielcu, a w następstwie szkodę w kwocie 301.110 zł. w zatrudniającym ich przedsiębiorstwie, a w kwocie 13.337.709 zł. w zakładach na terenie Mielca działających.*

Wszyscy trzej inżynierowie odpowiadają z wolnej stopy i tylko w stosunku do Madejskiego, któremu akt oskarżenia zarzuca najmniej groźne czyny, zastosowano środek zapobiegawczy w postaci poręcze-

nia społecznego. Dwu związkowców, kolegów z wydziału, dało harcerskie słowo honoru, że Madejski nie będzie uciekał, że korzystając z warunkowej wolności nie dopuści się czynów karalnych i że stawi się na każde żądanie sądu. Wprawdzie opinia publiczna domaga się krwi (wielu jest entuzjastów ochrony naturalnego środowiska człowieka, którzy wszystkich technokratów zatruwających powietrze, niszczących lasy i rzeki chętnie widzieliby za kratkami), to jednak trzeba stwierdzić, że trzej inżynierowie przebywający na wolności i pracujący w Stomilu ku powszechnym pożytkom, stanową wartość wyższą od trzech zamkniętych inżynierów.

Inżynier Rusin, mimo ciążących nad nim zarzutów, nadal kieruje pracami działu Rozruchu Montażowego, podobnie inżynier Hoseja w dalszym ciągu jest pełnoprawnym kierownikiem Zakładu Nr 1. I tylko Edward Madejski ze stanowiska głównego energetyka przesunięty został do pracy w sporcie zakładowym. Trudno zrozumieć, dlaczego należało Madejskiego odsunąć, skoro dwu pozostałych oskarżonych można było zostawić w spokoju, lecz trzeba przynajmniej podjąć próbę.

Idę więc do budyneczku administracji przy potężnym ośrodku sportowym „Stomilu". W sekcji zapasów za biurkiem przykrytym papierzyskami i proporczykami siedzi człowiek o ujmującej powierzchowności, ubrany w sportowy garniturek. Tak może wyglądać urzędnik średniego szczebla i tak mógłby wyglądać inżynier władający setkami ludzi, gdyby nie rozbiegane oczy i niespokojne ręce, nie znajdujące dla siebie stałego miejsca.

— Cieszę się, że widzę pana na wolności — mówię od progu.

— Ja też się cieszę, ale nie tak wyobrażałem sobie wolność.

Madejski opowiada teraz o ciągnących się w nieskończoność tygodniach odosobnienia, o strażnikach, milicjantach, prokuratorach. Traktowany był dobrze, nawet bardzo dobrze w porównaniu z innymi, lecz i tak chciał zwariować od nadmiaru czasu na myślenie. We dnie i w nocy kombinował, jak mogło dojść do aresztowania i doszedł do wniosku, że ktoś mu uszył buty. Mógł to być kolega, albo przełożony. Ktoś wprowadził prokuraturę w błąd, co do tego on nie ma wątpliwości.

Przenieśli go do sportu. Dlaczego? Bo on, żeby się bronić, musi oskarżać innych. Do tego celu są mu potrzebne dokumenty. W jego mniemaniu celowo ustawiono go w takim miejscu, skąd perspektywy roztaczają się wąskie i widać niewiele. Udało mu się zgromadzić ekspertyzy wykazujące, że przy usuwaniu awarii zachował się nienagannie, zebrał również papiery dokumentujące, że w swojej pracy rutynowej zrobił wszystko, co powinien być zrobić.

Madejski pokazuje kserokopie kilkunastu instrukcji postępowania: dla obsługi oczyszczalni, dla pracowników laboratorium, dla służb bezpośrednio mu podległych i dla personelu podlegającego poszczególnym działom. Na każdy zarzut oskarżenia udało mu się zebrać niezbite dowody niewinności. Lecz mimo usilnych starań, nie potrafi odszukać listy nagrodzonych za pośpieszne uruchomienie prowizorycznej instancji miksera numer dziewięć.

— Wyobraża pan sobie, żeby tak ważny dokument mógł zaginąć w zakładzie? — powiada z emfazą. — A przecież winowajców awarii należałoby szukać wśród nagrodzonych. Zrobili to cudo, pobrali pieniądze, a teraz siedzą cicho.

Z żalem w głosie opowiada, że do tej pory nikt z kierownictwa nie znalazł czasu, żeby poprosić go na rozmowę i wyjaśnić dlaczego siedzi teraz w spor-

cie i przerzuca papierki z miejsca na miejsce. Zachował dawne uposażenie i jest chyba najlepiej płatnym referentem spraw sportowych w całej Polsce, lecz przejechano mu się po premii.

— Ja do dziś nie wiem, dlaczego zabrano mi premię wyrównawczą za ubiegły rok — mówi. — To jest duża suma, około sześciu tysięcy. Otrzymali ją wszyscy podlegli mi pracownicy, a to przecież dowodzi, że kierowany przeze mnie wydział spełnił zadania. To taki mały absurd, ilustracja stosunku do mojej skromnej osoby.

Madejski boi się więzienia, co może nawet nie przystoi mężczyźnie. Z panicznego strachu przed ponownym zamknięciem gromadzi dokumenty, odbija papiery na kserografie w obawie, że papiery zawieruszą się na ten czas, kiedy będą w sądzie potrzebne. Nikomu już nie ufa, bo ludzie niewyraźnie patrzą mu w oczy.

Nieco później, kiedy rozmawiałem z dziesiątkami osób z zakładowego szczytu, wielokrotnie powtarzała się taka mniej więcej ocena: Madejski musiał zwariować. Bardzo źle zrobiło mu odosobnienie, bo teraz popada w oskarżenia innych. Już w ogóle roztropnie nie można z nim pogadać.

Poszedłem do dyrekcji, żeby dowiedzieć się dlaczego z archiwów zniknęła lista nagrodzonych za rewelacyjną instalację miksera, wybudowaną w tak krótkim terminie. Odpowiedziano mi: nie wiemy dlaczego zniknęła i czy w ogóle zniknęła. Lecz gdyby chodziło o utrudnienie dochodzenia, to taki manewr jest bez sensu, bo przecież w każdej chwili listę można uzyskać ze zjednoczenia, a jak nie, to z ministerstwa.

Po powrocie do Warszawy z niecierpliwością oczekiwałem kolejnego telegramu, wzywającego mnie na rozprawę. Przyszedł telegram: rozprawa bę-

dzie wznowiona. Już spakowałem szczoteczkę do zębów i sprawdziłem, czy mam bilet w kieszeni, kiedy listonosz przyniósł następny telegram: rozprawa jest odwołana z powodu choroby głównego oskarżonego.

Wezwania i sprostowania wezwań otrzymywałem wielokrotnie w czasie trwania procesu. Ciągle ktoś chorował: jeśli nie jeden oskarżony, to jakiś ważny biegły, którego przed Wysokim Sądem należało wysłuchać. Epidemia niezwykła szarpała przebieg rozprawy na strzępy, a na domiar złego terminy nie mogły utrzymać się na wokadzie, ponieważ okazywało się na przykład, że w dniu takim i takim oskarżony Hosaja, lub też Rusin, nie mogą stawić się w sądzie, ponieważ w ważnych sprawach służbowych musieli udać się do Warszawy.

Mimo fatalnych przeszkód akcja dowodowa prokuratury posuwała się jednak do przodu, trzeba bowiem powiedzieć, że bywały i takie dni, kiedy przed sądem stawiali się wszyscy wezwani. Nie ma takiego pióra, które w zwięzłych słowach i na powierzchni papieru równej przeciętnej powieści, oddałoby atmosferę i merytoryczny przebieg monstrualnego procesu. Bo jakże tu przedstawić zarzuty oskarżenia lub też linię obrony mecenasów bez odwołania się do wzorów matematycznych z kursu politechnicznego i bez zilustrowania tego wszystkiego przejrzystym rysunkiem technicznym?

W końcówce wszyscy poddali się zmęczeniu; sąd, prokurator, obrońcy i oskarżeni. Publiczność straciła zainteresowanie dla sprawy już po drugim miesiącu. I nawet w takim ciekawym dniu, kiedy sąd bezowocnie próbował ustalić, do kogo właściwie należy cudowna cysterna i kto powinien mieć na nią bacznie, nie było na sali gawiedzi, która mogłaby buchnąć śmiechem.

Wreszcie nadszedł ten wielki dzień, kiedy po wy-

słuchaniu kilkudziesięciu świadków i odebraniu zeznań od kilkudziesięciu biegłych, sąd postanowił zamknąć sprawę. Porządek owego dnia przewidywał wysłuchanie opinii trzech biegłych, następnie przemówienia stron i ogłoszenie wyroku. Zjechali się wszyscy niemal, aliści nie stawili się biegli.

— Niczego nie rozumiem — powiedział sędzia Krzysztof Zborowski. — Jeszcze wczoraj nikt nie widział przeszkód, żeby rozprawa mogła zakończyć się dzisiaj, a tutaj nie zjawiają się wszyscy trzej biegli. To wygląda tak, jakby się umówili. Wyznaczam ostatni dzień rozprawy za dwa tygodnie od dnia dzisiejszego i ogłaszam wyrok, choćby nikt się nie stawił.

W dwa tygodnie później proces zakończył się. Prokurator wygłosił naprawdę dobre przemówienie, wykazujące winę oskarżonych. Trzej mecenasi dali z siebie wszystko, żeby wykazać niewinność ich klientów.

Sąd udał się na naradę i ogłosił wyrok uniewinniający wszystkich trzech oskarżonych.

Na drodze do uniewinnienia oskarżonego Stanisława Rusina sąd musiał pokonać wiele trudności. Wszakże ów człowiek techniki, sprawując funkcję kierownika działu rozruchowo-montażowego i jako faktyczny przywódca całej operacji uruchamiania miksera nr 9, z nadzwyczajną łatwością godził się na kolejne odstępstwa od wzorowo opracowanego projektu. W jego wykonaniu projekt „tymczasowy" zmienił się w prowizorkę powiązaną na sznurki. W celu pokonania pewnych niedogodności terenowych, instalację olejową umieścił po przeciwnej stronie bocznicy, niż przewidywał to projekt, ponadto pompy, które według projektu miały być umieszczone na międzytorzu, zainstalował w maleńkim bu-

dyneczku tuż za kołem oporowym ograniczającym ruch magazynu-cysterny, dokładnie na osi toru. Rurociąg, który według dokumentacji powinien być zainstalowany osiemdziesiąt centymetrów nad szyną, umieścił wyżej i zamiast pomp typu 40 RW wykorzystał pompy PZ-100. W efekcie wykonanie miało się tak do technicznych założeń, jak dzień do nocy.

Jednakże w sądzie Stanisław Rusin z łatwością mógł udowodnić, że z największą przyjemnością zmontowałby instalację dokładnie według projektu, jednakże z przyczyn technicznych, organizacyjnych, zaopatrzeniowych i innych jeszcze było to absolutnie niemożliwe. Nikt z własnej inicjatywy nie będzie dokładał sobie pracy, a wszakże każda ze zmian wprowadzonych do projektu wymagała odrębnego obmyślenia, dziesiątków uzgodnień. Swoje czynności inżynier Rusin najchętniej ograniczyłby do kontroli zgodności wykonawstwa z projektem, lecz w życiu nie ma tak dobrze: buduje się z tego, co się ma, a nie z tego co chciałoby się mieć. A zresztą wszystkie zmiany w stosunku do dokumentacji zostały zaakceptowane przez biuro projektowe, bo umożliwiając w ogóle uruchomienie instalacji miksera nr 9 „nie miały istotnego wpływu na sposób funkcjonowania instalacji olejowej".

Jeśli weźmie się pod uwagę presję, pod jaką działał oskarżony, Stanisław Rusin, to i tak można się zdumiewać, że nie popełnił grubszego błędu. Kraj wołał o dętki, a przemysł nie może być głuchy na tego rodzaju wołanie. Losy gospodarki wisiały niejako na sznurkach, którymi inżynier Rusin wiązał swoją rewelacyjną instalację. Dziesiątki tysięcy samochodów unieruchomionych w bazach, setki maszyn budowlanych pozbawionych zdolności manewrowych... Jeżeli jeszcze można być głuchym na wołanie kraju, to przecież inną postawę należy zająć

wobec rozmaitych telefonów ponaglających i teleksów napływających aż z Warszawy.

Można byłoby efektownie oskarżać Stanisława Rusina, dlaczegóż to odważył się postawić cysternę-magazyn na bocznicy kolejowej nie zakwalifikowanej do ruchu przez komisję odbioru — wszakże na coś podobnego nie pozwalają przepisy! Lecz ścisłe trzymanie się przepisów w praktyce przemysłowej jest niemożliwe i gdyby w „Stomilu" znalazł się jakiś wariat-formalista, który przepisów chciałby się trzymać kurczowo, cały zakład natychmiast musiałby stanąć.

Jednakże do całej afery olejowej prawdopodobnie by nie doszło, gdyby inżynier Rusin już po rozruchu technologicznym instalacji nie wprowadził jeszcze jednej, jak się później okazało, nadzwyczajnie istotnej korekty. Otóż dla usprawienia czynności przeładunkowych, żeby nie przetrzymywać cystern ponad czas regulaminowy, trzeba było zwiększyć dwukrotnie przekrój węży gumowych. W trakcie operacji wymiany węży, ułożono elastyczny przewód w korytku stalowym — „żeby wszystko trzymało się lepiej". I właśnie owa utrata elastyczności stała się przyczyną zerwania krócców w przepompowni, gdy w cysternę stuknęła druga cysterna. Tej zmiany inżynier Rusin z nikim nie uzgodnił.

Konsekwencje jednego drobnego błędu okazały się fatalne, lecz przecież byłyby znacznie mniejsze, gdyby nie błędy następne, popełnione na obszarze odpowiedzialności innych osób. Sąd odrzucił zarzuty oskarżenia w stosunku do Stanisława Rusina stojąc na stanowisku, że jego wina mieści się w zakresie odpowiedzialności służbowej.

Skutki wycieku oleju z instalacji byłyby mniejsze, lub tylko ograniczyłyby się do straty cennego surowca, gdyby praca w Zakładzie nr 1 kierowanym

6*

przez Andrzeja Juliusza Hosaję, zorganizowana była lepiej. W zakresie obowiązków służbowych kierownika zakładu leżało wszak czuwanie nad bezpieczeństwem technicznym i przeciwpożarowym powierzonych mu instalacji, sprawowanie nadzoru nad przekazanym mu majątkiem trwałym, wreszcie, zgodna z przepisami i instrukcjami eksploatacja urządzeń. Inżynier Hosaja skupił całą swoją uwagę na prawidłowej pracy urządzeń mechanicznych wewnątrz hali i właściwie nie interesował się instalacją olejową.

Kiedy ma się do czynienia z instalacją obarczoną w tytule „tymczasowością", należy przecież zachować jak najdalej idącą ostrożność. Lecz znów „tymczasowość", jako coś odbiegającego od standardu, z góry przygotowuje człowieka na pewne odstępstwa od zwykłych wymagań. Jak się okazało po awarii, prowizoryczna instalacja olejowa w ogóle nie miała swojego właściciela. Magazyn surowców nie miał jej „na stanie", a znów sam inżynier Hosaja nie uważał się za właściciela, ponieważ zbiorniki oleju przy wszystkich pozostałych mikserach należą zwyczajowo i formalnie do działu gospodarki surowcowej. Oskarżony nie miał istotnych powodów do zainteresowania nieszczęsną instalacją, albowiem olej zawsze na czas trafiał do miksera i na rytmiczność dostaw nie można było narzekać. Celem inżyniera Hosaji było wytwarzanie mieszanki butylenowej, na którą czekano w hali produkcyjnej dętek i z tego zadania wywiązywał się nad podziw dobrze.

Oskarżyciel publiczny uznał instalację obiegu oleju wraz z cysterną-magazynem za część składową linii technologicznej; przecież olej w cysternie był wstępnie podgrzewany do temperatury czterdziestu stopni i dopiero podawany do miksera. Jednakże tego rodzaju przyporządkowanie części do całości

(już po awarii) nasuwa liczne wątpliwości natury formalnej, przede wszystkim zaś tę jedną: czemuż w dokumentach „Stomilu" nie ma mowy o rozszerzeniu obowiązków kierownika zakładu nr 1?

Czyją własnością była cysterna i kto powinien bezpośrednio sprawować nad nią pieczę — oto problem możliwy do roztrzygnięcia jedynie przez zawodowych myślicieli biegłych w sofistyce. Lecz niezależnie od tego, jaki powinien być formalny stosunek inżyniera Hosaji do instalacji olejowej, jedno jest pewne: gdyby szef Zakładu nr 1 wydał podległym sobie mistrzom i brygadzistom odpowiednie instrukcje co do środków ostrożności, załoga miksera nr 9 wiedziałaby jak się zachować i zamiast załamywać ręce nad nieprzewidzianą przerwą w pracy od razu zawiadomiłaby służbę wodno-kanalizacyjną o zniknięciu niebezpiecznego surowca. Inżynier Hosaja wydał instrukcję, lecz niedostateczną, toteż Sąd przyjął, że za niedociągnięcia w pracy należy mu się nagana służbowa, lecz zwolnił go od odpowiedzialności karnej.

Awaria olejowa w „Stomilu" miałaby przebieg zgoła niedramatyczny, gdyby trzeci z oskarżonych, inżynier Edward Madejski, zażądał od wykonawcy robót zaślepienia studzienki ściekowej w pobliżu torowiska, na którym stała cysterna. Olej rozlałby się wówczas równomiernie po całej bocznicy, po czym łopatami można byłoby go zebrać. Nie istniałaby fizyczna możliwość przedostania się oleju do kanalizacji burzowej i następnie do rzeki. Jednakże przewód sądowy wykazał, iż Edward Madejski nie mógł wystąpić z tego rodzaju żądaniem, gdyż o zagrożeniu sieci kanalizacyjnej nic nie wiedział! Wlot do studzienki ściekowej usytuowany był znacznie wyżej od torowiska, na którym stała cysterna i nikt nie mógł brać pod uwagę groźby przelania. Jednakże

budowniczowie torowiska (nie przyjętego formalnie do eksploatacji) założyli sączek i dreny, celem odprowadzania wód deszczowych, o czym inżynier Madejski w ogóle nie został poinformowany.

Inżynier Edward Madejski nie przyczynił się w żaden sposób do powstania awarii, a z jej skutkami walczył tak, jak okoliczności na to pozwalały, przeto z zarzutów oskarżenia musiał być oczyszczony.

Kiedy sędzia Kszysztof Zborowski wygłosił ostatnie słowo ustnego uzasadnienia wyroku uniewinniającego, na sali zapanowało poruszenie. Oskarżeni spoglądali po sobie w dziwacznym jakimś odrętwieniu, adwokaci cieszyli się z korzystnego werdyktu i tylko wśród publiczności widać było oznaki niezadowolenia ze spektaklu, któremu Wysoki Sąd odebrał pointę. Publiczność ma już to do siebie, że raczej przychodzi do sądu dla miłego dreszczyku, niźli dla złowienia oddechu sprawiedliwości. Sędzia Krzysztof Zborowski nie zdobył sobie publiczności.

Niezadowolenie publiczności, radość adwokatów i nawet pełne godności milczenie prokuratora — wszystko to wypadło naturalnie i demonstrowało się tak, jak można było oczekiwać. Zdumiewało tylko zachowanie trzech uniewinnionych inżynierów. Jeżeli wspólnie przeżywane niebezpieczeństwo cementuje przyjaźń, jak to pięknie wyraził Anatol France, to przecież powinni teraz przystąpić do siebie, uściskać się nawzajem, pogratulować sobie sukcesu prawnego. Tymczasem oni stali osobno, w przedziwnej jakiejś atomizacji i toczyli po sali nieprzychylnym wzrokiem. Zapewne wspólnie przeżywane niebezpieczeństwo ma nie tylko zdolność cementowania przyjaźni, lecz również moc kruszenia dobrych stosunków koleżeńskich.

Oskarżony inżynier Stanisław Kusin, kierownik

Działu Montażowo-Rozruchowego uruchomił prowizoryczną instalację do wytwarzania masy gumowej, która okazała się zawodna, oskarżony inżynier Andrzej Hosaja instalację tę eksploatował przez kilka miesięcy aż do momentu awarii, zaś inżynier Edward Madejski, jako główny energetyk, odpowiedzialny między innymi za gospodarkę wodno-ściekową „Stomilu", powinien tak pilnować poczynań swoich kolegów, żeby nic nieprzewidzianego nie mogło się zdarzyć, a już zwłaszcza, żeby nie mogło się zdarzyć zanieczyszczenie rzeki olejem, który wypłynął samowolnie z niedostatecznie zabezpieczonej instalacji. Każdy z tych inżynierów uważał się za niewinnego (i słusznie, jak się okazało w finale). Jednakże w toku procesu żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że wszyscy oni są niewinni. Z tej przyczyny akcje obronne każdego z nich odbierane były jako agresja przez dwu pozostałych.

Świat dębickiego „Stomilu" podzielił się teraz na trzy nierówne części, nastawione do siebie dość nieprzychylnie. Zwolennicy niewinności Madejskiego stawiali Rusinowi zarzut, że całą instalację potraktował po partyzancku i na koniec spartaczył, bo co to ustawić cysternę tak, żeby jedno lekkie puknięcie lokomotywy przy przetaczaniu cysterny z nowym zapasem już wystarczyło do zerwania łączy! A ten Hosaja przez całe miesiące czerpał olej z cysterny i nie wiedział, że cysterna należy do jego gospodarstwa; tłumaczy się teraz, że przy dziewięciu pozostałych mikserach podział kompetencji jest taki, że magazyny oleju należą do działu gospodarki surowcowej, ale to wygląda na lipę, bo olej w cysternie był wstępnie podgrzewany do temperatury czterdziestu stopni, a więc cysterna była urządzeniem technologicznym, jednym z fragmentów instalacji do wyrobu mieszanki. Natomiast zwolennicy Hosaji

mogli szermować także niegłupim argumentem: nie byłoby przecież żadnego skandalu z zatruciem Wisioki, tylko głupia strata kilku ton oleju, gdyby Madejski kazał zaślepić kanalizację w pobliżu cysterny. Może po deszczach na torowisku gromadziłoby się trochę wody, ale olej w żaden sposób nie mógłby wyciekną do rzeki.

I wydawałoby się, że sporo uciechy po wyroku uniewinniającym trzech inżynierów, lecz gdzie tam! Wystarczy przejść się po halach fabrycznych, żeby usłyszeć:

— Po co było szukać winnych tak wysoko, wśród inżynierów. Należało lepiej przypatrzeć się kolejarzom i na tym poprzestać. Przecież ci ludzie nie mieli prawa puknąć w cysternę, powinni przetaczać wagony z największą ostrożnością. Ale to są weseli chłopcy. Tłumaczą się teraz, że nie wiedzieli co wozili. Przetaczali cysterny i nie mieli durnie pojęcia co jest w środku! Niech im tam, nie wiedzieli. Ale dlaczego nie powiadomili nikogo o stuknięciu? i kto skrzętnie przysypał piaskiem strużkę oleju na bocznicy? Przecież nie zrobił tego Hosaja a Rusin z Madejskim nie pomagali mu.

Więc stan faktyczny w sprawie olejowej przedstawia się na dziś tak oto: była awaria, Mielec poniósł wielomilionowe straty w gospodarce miejskiej i w przemyśle, lecz nie ma winnych. No cóż, nie jest zadaniem sądownictwa szukanie winowajców. Sąd bada jedynie argumenty przedłożone przez oskarżyciela publicznego, odbiera zeznania świadków i oskarżonych, a potem wszystko waży i orzeka o winie lub niewinności. Akt oskarżenia zarzucał trzem inżynierom odstępstwo od zasad dobrego gospodarowania, zbudowali prowizoryczną instalację i nie upilnowali jej w fazie produkcji. Sąd wziął pod uwagę realnie istniejące warunki, setki milio-

nów korzyści wynikających z przyśpieszenia rozruchu miksera nr 9, uznał, że wszyscy trzej działali w dobrej wierze i zgodnie ze sztuką inżynierską, po czym zarzut oskarżenia oddalił.

I jakże to, była awaria, trzynaście milionów poszło w straty, Mielec przez cztery dni był bez wody i nie ma ludzi odpowiedzialnych za ów skandal, których z całą surowością można byłoby ukarać? Na kogóż spada odpowiedzialność? — oto pytanie. No cóż, w życiu przemysłowym i w ogóle bywa tak, że odpowiedzialność nie spada, lecz jak mgiełka przejrzysta, choć ulotna, unosi się ponad gmachami urzędów, ministerstw i zjednoczeń, snuje po korytarzach biur, wnika do szaf, wreszcie wsiąka w sterty papieru.

No cóż, nie można na co dzień uprawiać rozpusty i jednocześnie trwać w poczuciu grzechu śmiertelnego. W życiu przemysłowym stopniowo odchodziło się od starych dobrych zwyczajów, od norm utrwalonych przez tradycje zawodów. Tu z konieczności należało zastosować mniej wytrzymały materiał, niż przewidywały normy, ówdzie w szaleńczym pośpiechu jakieś pracochłonne rozwiązanie techniczne zastąpiono czymś tańszym, łatwiejszym i, oczywiście, gwarantującym mniejszą trwałość. I zawsze w takich trudnych sytuacjach znajdowali się wysocy przełożeni i wielcy protektorzy, którzy odstępstwo od normy rozgrzeszali. Raz motywacją dla odstępstwa były jakieś sztywne plany, innym znów razem kooperacyjna konieczność, niekiedy zaś wystarczającą motywacją były premie, których wypłacanie zależało od ukończenia konkretnego zadania.

Na budowniczych instalacji miksera nr 9 w „Stomilu" czekały wysokie pramie, lecz bezpodstawnym byłoby twierdzenie, że ludźmi wprzęgniętymi w jej

uruchamianie kierował tylko jedynie niski motyw. Od produkcji masy butylenowej zależała produkcja dętek, od produkcji dętek uzależniony był transport. Szybkim uruchomieniem instalacji zainteresowane były najwyższe gospodarcze czynniki i właśnie z wysokich pięter przemysłowej hierarchii przychodziło rozgrzeszenie dla kolejnych odstępstw od pierwszego projektu technicznego.

Naczelny dyrektor dębickiego „Stomilu", inżynier Józef Stróżyk, złożył przed sądem znamienne oświadczenie. Powiedział, że awaria olejowa była zdarzeniem przykrym, którego można było uniknąć, choć trudno było przewidzieć. Jeżeli straty gospodarki narodowej wynikłe z unieruchomienia mieleckich wodociągów można szacować na trzynaście i pół miliona złotych, to korzyści wypływające z szybkiego uruchomienia produkcji dętek były sto razy większe! Zaledwie o jeden procent zmniejszył się zysk gospodarki narodowej, którego twórcami byli inżynierowie „Stomilu".

Proces dębicki, który zapowiadał się jako totalne oskarżenie przeciwko niefrasobliwości przemysłu zatruwającego wodę, glebę, powietrze, nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Już podjęto jakąś próbę, lecz to nie precedens... Tym razem zwyciężyła argumentacja ekonomiczna dyrektora Stróżyka. Inżynierowie wyszli z operacji cało, choć troszeczkę przy tym poturbowani.

Jan Lewandowski

DOLARY Z WAŁKA

Skandal w Andorra la Vella

— Senorita — było to jedyne słowo, które pojęła pani Leespack. Przemowa człowieka ubranego w strój pośredni między frakiem a uniformem grenadierów szpikowana była rozmaitymi uprzejmościami, ale pani Leespack nie znała katalońskiego. Wiedziała tylko, że stało się coś złego. Właściciel i zarazem recepcjonista hotelu sprawiał wrażenie paralityka zmuszonego do gry w ping-ponga. Składał ukłony, a następnie odchylał się do tyłu, stukając czaszką o ręcznie kutą kratę zasłaniającą okno.

— Dajcie mi spokój — powiedziała zdenerwowana turystka po angielsku (zdawało się jej, że mówi po angielsku, ale zrozumiałby ją zapewne tylko ulicznik z Oakland). — Dajcie mi spokój i resztę ze stu dolarów.

Słowo „dolar" zrozumieli zarówno recepcjonista, jak człowiek w dziwacznym fraku. Bystrość pani Leespack pozwoliła jej pojąć, że nie będzie reszty. Za pokój, nawet z balkonem i łazienką, nawet z obrazkiem św. Teresy upiększającym ścianę nad podwójnym łóżkiem — nawet za taki pokój płaciło się w Andorra la Vella niespełna 10 dolarów dziennie, wliczając w to koszt pierwszego śniadania podawanego do łóżka. Pani Leespack zajmowała pokój zaledwie od trzech dób i właśnie regulowała rachunek, a na maleńkim podjeździe hoteliku stał gotowy

do podróży ford z owalną tabliczką „AAA". Pani Leespack miała dość folkloru Pirenejów i chciała czym prędzej znaleźć się w Paryżu.

Mężczyzna we fraku zaczął mówić po francusku, a potem po hiszpańsku, co dla amerykańskiej turystki nie stanowiło różnicy. Jedynie ciemno oprawiona legitymacja, wydobyta z kieszeni niby—fraka rozmownego mężczyzny rozjaśniła jej nieco w głowie: słowo „policja" nie budziło wątpliwości. Słowo to podziałało na panią Leespack na tyle kojąco, że bez przeszkód odbyła z wyfraczonym grenadierem krótki spacer przez rozgrzane porannym słońcem ulice miasteczka, aż do budynku municypalnych władz. Tam inny urzędnik, już bez pseudo fraka, w normalnej kolorowej koszuli, zdołał jej wyjaśnić, że usiłowała dokonać zamachu na skarb państwa, rządzonego przez Radę Dolin, prezydenta Francji i biskupa Urgel. Pompatyczny napis „Virtus Unita Fortior" na wstędze pod herbem państwowym ćmił się jeszcze w oczach pani Leespack przez całą drogę do Paryża, kiedy po mozolnym, dwugodzinnym przesłuchaniu pozwolono jej wreszcie uregulować hotelowy rachunek za pomocą innego studolarowego banknotu i z którego recepcjonista-paralityk wydał skrupulatnie resztę, nie biorąc nawet napiwku. Pani Leespack dopiero przy kierownicy samochodu przypomniała sobie to, o co maglowali ją urzędnicy: banknot, który wniósł tyle zamieszania, otrzymała podczas wymiany czeku w kantorze obok dworca kolejowego. Ale pani Leespack nie miała tyle dobrej woli, aby wracać do niegościnnej Andorra la Velle i wyjaśniać rzecz od początku.

Banknot był piątym z kolei studolarowym nominałem banku USA, który zakwestionowano w ciągu ostatniego tygodnia w Andorze. Mężczyzna w kolorowej koszuli zdecydował się zatelefonować do Pa-

ryża i jego telefon uprzedził o wiele godzin przyjazd pani Leespack, ale funkcjonariusze Interpolu nie mieli podejrzeń wobec samotnie podróżującej żony właściciela drogerii z Oakland, San Francisco. Było absolutnie pewne, że w Andorze pojawiły się fałszywe, dość nieudolnie podrobione studolarówki, było również pewne, że amerykańska turystka sama padła ofiarą fałszerzy. Funkcjonariusze Interpolu gotowi byli zbagatelizować sprawę, jednakże w owym pamiętnym 1973 roku, z Andorry zaczęły w zastraszającym tempie napływać nowe meldunki o odkryciu falsyfikatów studolarówek i dyrektor francuskiej sekcji Interpolu powiedział swojemu hiszpańskiemu koledze podczas osobistej rozmowy, że oczekuje doniesień o odkryciu falsyfikatów w innych krajach Europy. Hiszpan nie zaprzeczył, ale nie wydawał się przejęty proroczymi domniemaniami kolegi. „Fałszerstwa — powiedział ze zdumiewającym spokojem — zdarzały się od czasu wynalezienia pieniędzy. Osobiście wolę, żeby fałszowano dolary i to w setkach. Któż zwróci uwagę na fałszywy banknot wartości stu pesetów? A takiej zielonej setce każdy się jednak przygląda."

Narodziny „Studenta"

Legitymacja, którą znalazł Lucjan Grajdem na podłodze kawiarnianej szatni w Krakowie, była w dobrym stanie, nosiła pieczątkę Akademii Górniczo-Hutniczej. Wyglądała apetycznie, ale z punktu widzenia przyszłego właściciela lokalu ajencyjnego o charakterze gastronomicznym nie stanowiła atrakcji. Lucjan w porywie szlachetności miał zamiar wrzucić kartonik do najbliższej skrzynki pocztowej, jednakże skrzynki w pobliżu nie znalazł. Zaś kiedy

wsiadł do tramwaju i skasował bilet za złotówkę, olśniła go prosta myśl: studenci płacą za tramwaj połowę taksy. Namacał w kieszeni tekturowy kartonik i wtedy przyszło kolejne olśnienie: za tramwaj płaci się połowę, a za pociąg zaledwie dwie trzecie! Studenckie życie miało powaby, niedostępne absolwentowi szkoły podstawowej, choćby nawet przyszłemu kierownikowi punktu ajencyjnego branży gastronomicznej.

W domu obejrzał raz jeszcze legitymację, przykleił do niej własne zdjęcie (wyszedł na nim bardzo ładnie) i za pomocą dwudziestogroszówki przybił „stempelek" z orzełkiem. Żonę Lucjana, zajętą dwuletnim dzieckiem kwilącym w kącie pokoju, nie interesowały czynności męża. Była przyzwyczajona, że cokolwiek Lucjan robił, nigdy z tego nie było pieniędzy. Może jego powołaniem był punkt ajencyjny i to należało sprawdzić, zebrawszy odpowiednie fundusze. Bo mimo wszystko — o czym Helenka Grajdem wiedziała i co dawało się odczuć ogółowi znajomych Lucjana — chłopak miał swój rozum, swoją inteligencję i tylko warunki układały się tak fatalnie, że bez pracy nie można było liczyć na stały dochód. Ale to nie była wina Lucjana.

— Lucek — powiedziała w przypływie tkliwości małżeńskiej — pojechałbyś na wczasy do Bułgarii?

— Do Bułgarii? — Grajdem ulokował sfałszowaną legitymację w tylnej kieszeni spodni, poczuł się nagle studentem poważnej Akademii i pytanie żony padło w sam raz. Zamiast Bułgarii mogłaby zaproponować Lazurowe Wybrzeże, lecz ostatecznie... — Naturalnie, pojedziemy do Bułgarii. Słyszałem, że tam można tanio kupić kożuchy. I szmuglują złoto z Turcji.

— Dolary też tańsze — powiedziała trzeźwo Helenka. — Dolary mogą się przydać w ajencji.

Pojechali bez trudności już w następnym miesiącu, w czerwcu 1977 roku. Zatrzymali się w Warnie, w hotelu „Musola”. Grajdem przezornie zabrał ze sobą z Polski trochę ręczników frotte, nieco kremu nivea. Celnicy wprawdzie zastanawiali się, czy dwuosobowe małżeństwo zużywa po cztery ręczniki dziennie i czy cały wolny czas poświęca prasowaniu bielizny oraz smarowaniu się kremem nivea, jednakże nie robili trudności. W hotelu Lucjan poznał przy barku sympatycznego Bułgara o imieniu Medżar i ten z uprzejmością przynależną gospodarzom pomógł Lucjanowi sprzedać parę drobiazgów. Obaj panowie zaprzyjaźnili się do tego stopnia, że Bułgar zawiózł gościa w swoje rodzinne strony w miejscowości Pszczelnik. Wiadomo, że nic tak nie wspomaga przyjaźni jak wspólny, udany interes. Medżar był coraz serdeczniejszy, a pod koniec pobytu miłego gościa z Polski powiedział wprost:

— Lucek, co tam twoja ajencja... Przyjeżdżaj możliwie szybko, czekam tu na ciebie w przyszłym miesiącu. Przyjedziesz?

— Naturalnie — powiedział Grajdem — bardzo ładnie w tej waszej Bułgarii.

Punkt ajencyjny w Polsce jakoś nie był jeszcze gotowy. Chwilowo Lucjan pojeździł sobie trochę pociągami i tramwajami korzystając ze studenckiej taryfy a następnie, skuszony drobnym ale stale dopisującym powodzeniem, użył nawet legitymacji, aby uczestniczyć w festiwalu w Krakowie. Podróż do Bułgarii, obok humanistycznych wartości poznawczych, przyniosła nieco grosza. „Studencki” tryb życia jednak, mimo ulg w komunikacji miejskiej i kolejowej, wymagał nakładów finansowych. Kolejna podróż do zaprzyjaźnionego, słonecznego kraju, stała się koniecznością. Tym razem Lucjan — nie napotkawszy oporów ze strony władz celnych

i paszportowych — pojechał wprost do Medżara, nie zahaczając nawet o Warnę.

Medżar był równie serdeczny, jak poprzednio, ale na wiadomość o kolejnym transporcie kremu, ręczników oraz żelazek z nawilżaczami, nie okazał spodziewanego entuzjazmu.

— Słuchaj Lucek — przemówił poważnie, gdy po kolacji usiedli na ganku przy szklankach wina — jest dla ciebie interes. Interes dla mądrego, młodego człowieka z ambicjami.

Grajdem nastawił uszu. Patrzył na gospodarza z uwagą, tamten był jednak starszy i lepiej znał życie, niż 24-letni Lucjan, ojciec dziecka i „student" AGH wprawdzie, ale jednak jeszcze nieco zielony.

— Mam trochę dolarów — oznajmił gospodarz. — Sprzedam ci je tanio.

— Jesteś kumpel! — oznajmił radośnie Grajdem, chociaż Medżar nie znał tego gwarowego słowa.

— Pojedziemy też razem do Warny — ciągnął gospodarz — tam można robić większe interesy.

— Nivea? — zapytał znajdujący się pod wpływem lekkiego rauszu Lucjan.

— Nivea... Może być. Ale nie tylko. Do Warny przyjeżdża wielu waszych. Turyści, rozumiesz? Błąkają się po mieście, sprzedają co potrafią i za ile potrafią, byle komu. Potem nabywają dolary. Co się u was dzieje z tym dolarami?

— Samochody — wyjaśnił Lucjan. — U nas każdy musi mieć samochód, a za dolary kupić najłatwiej. Bez samochodu człowiek się nie liczy, standard życiowy poszedł nam w górę. Jasne?

— Jasne.

Rozmawiali mieszanym językiem polsko-bułgarsko-rosyjskim, wtrącając niemieckie i czeskie powiedzonka, ale porozumiewali się lepiej, niż ame-

rykańska dama z andorskim policjantem. Był to język interesów.

Nazajutrz po tej rozmowie, w lipcu 1977 roku, pojechali z rodzimego Pszczelina do Warny, gdzie stanęli w znanym hotelu „Musola".

Kolejny „student" kradnie pierścionki

Urodzaj na dziwnych studentów okazał się w roku 1977 niespodziewanie obfity. Dwudziestodwuletni Zdzisław Koniczny znalazł na ulicy legitymację studencką Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Zdzisław, bliższy był murów wyższej uczelni, niż „student" Grajdem, gdyż oprócz wykształcenia podstawowego miał ukończoną zawodówkę. Montowanie instalacji elektrycznych, na co posiadał odpowiednie kwalifikacje, nie zaspokajało jego ambicji.

W znalezionej legitymacji podrobił stempelek identyczną metodą, co nieznany mu jeszcze Lucjan z Krakowa, jednakże postanowił użyć dokumentu w celu wznioślejszym, niż wyłudzanie ulgowych przejazdów. Zgłosił się mianowicie do domu wczasowego „Najada" i oświadczył kierownikowi, że pragnie popracować w czasie wakacji jako instruktor kulturalno-oświatowy. Prezencję miał właściwą, a legitymacja studencka wywarła na kierowniku „Najady" korzystne wrażenie.

Zawód kaowca na wczasach wbrew pozorom wymaga innych kwalifikacji, niż wyobrażają to sobie specjaliści od szkolenia narybku w CRZZ czy innych instytucjach. Kaowiec nie musi znać na pamięć statutu związkowego, za to powinien umieć posługiwać się magnetofonem, opowiadać dowcipy — a najcenniejszą jego zaletą jest budzenie sympatii kobiecej. Tego nie wykładają na żadnych kursach,

ale umiejętność tę posiadł w stopniu wybitnym „student" — monter Zdzisław Koniczny.

Krótki okres działalności Zdzisława w „Najadzie" przyniósł mu sukces. Wczasowicze (a zwłaszcza wczasowiczki) wyjeżdżali z pensjonatu po dwutygodniowych turnusach w poczuciu dobrze spędzonego urlopu. Kaowiec, zarabiający w „Najadzie" około 3 tysięcy złotych miesięcznie, zostawił w sercach miłe wspomnienie, nawet staroświecki kierownik „Najady" musiał przyznać, że pan „Binowski" (tak brzmiało nazwisko studenta SGPiS) spełniał swoje zadania znakomicie. Kiedy pewnego dnia pan Binowski nie zeszedł na śniadanie a nawet na obiad, w serce kierownika wkradł się niepokój o cennego pracownika. Przypuszczenie, że utonął w falach Bałtyku dominowało w „Najadzie" do kolacji, jednakże stwierdzenie braku magnetofonu i kilku innych cennych przedmiotów ze świetlicy i szafki kaowca postawiły sprawę w innym świetle. Straszliwe przypuszczenie, że kaowiec opuścił posterunek pracy, uzupełniając kradzieżą swoje skromne pobory, stało się następnego dnia pewnikiem. Zawiadomiona milicja daremnie poszukiwała śladów pana Binowskiego, stwierdzając tylko, że pod wskazanym adresem nie zamieszkuje.

Zdzisław Koniczny popracował kilka tygodni pod własnym nazwiskiem w pewnym wojewódzkim przedsiębiorstwie rozrywkowym a następnie, wbrew własnej naturze, podjął pracę w kopalni „P". Trudno wyjaśnić, co skłoniło Konicznego do takiego kroku, nie wykluczone jednak, że uległ on urokowi świeżo poznanej Krystyny — Haliny Farskiej, bezdzietnej panienki z Piotrkowa Trybunalskiego. Pełna wdzięku panna Krystyna pełniła funkcję recepcjonistki w hotelu w pobliżu kopalni, pobierając 2.750 zł wynagrodzenia miesięcznego. Jako absol-

wentka liceum ogólnokształcącego posiadała rozeznanie polskiej rzeczywistości i nakłaniała przystojnego Zdzisława do podjęcia pracy, gdyż odwzajemniała jego gorącą sympatię.

— Idź do pracy, Dzidek — mówiła w czasie wspólnie spędzanych, upojnych nocy. — Trzeba pracować, trzeba zarabiać, trzeba myśleć o wspólnej przyszłości. — Że co? — mamrotał przez sen Dzidek i wyrażał zgodę.

Co do zarabiania mieli poglądy jednomyślne, natomiast ciułanie oszczędności z górniczej pensji nie pociągało montera instalacji elektrycznych. — Miłość miłością — uznał pewnego dnia — ale pieniądze trzeba mieć szybko.

Opuściwszy zdradziecko kopalnię, Koniczny pojechał do górskiego kurortu na Dolnym Śląsku i tam dokonał wyczynu mogącego przyprawić o zazdrość niejednego uwodziciela najwyższej międzynarodowej klasy: w ciągu trzech dni podbił serca trzech dziewcząt, w ciągu jednej nocy (i to poczynając od godziny trzeciej nad ranem), ukradł trzem bogdankom sześć złotych pierścionków. Powróciwszy z łupem do Krysi Farskiej oświadczył jej: „Kochanie jedziemy na wakacje do Bułgarii". Panna Krysia westchnęła z błogością i wzięła zaległy urlop.

Plan farbowanej blondynki

26-letnia pani Neli, wysoka i szczupła blondynka (gwoli prawdzie — umiejętnie tleniona) nie miała szczęścia w małżeństwie. Kędzierzawy Włoch Giowanni porwał ją niemal staropolskim „raptem" z rodzinnego Plowdiw i wywiózł do Italii, ale tam ogniste małżeństwo utraciło powab dla obojga i za-

kończyło się rozwodem. Pani Neli przebolała jakoś stratę uczuciową, a trzeźwy osąd uratował sytuację. Pani Neli zorientowała się szybko, że podstawą szczęścia są pieniądze, lecz jako słaba kobieta bez zawodu nie widziała szans spędzenia życia w dobrobycie. Powtórnego zamążpójścia nie brała pod uwagę w myśl zasady dmuchania na zimne, odpłatne szafowanie swymi wdziękami odrzuciła, jako niewiasta na wskroś uczciwa. I rzeczywiście jej godna postawa szybko została nagrodzona przez los: we Włoszech trafiła się jej okazja nabycia większej ilości dolarów po atrakcyjnej cenie.

Mówiąc prawdę, cena była tak atrakcyjna, że aż wzbudziła wątpliwości: nie przekraczała dziesiątej części urzędowej lub czarnorynkowej. Uśmiechów losu nie należy jednak płoszyć brzydkimi podejrzeniami, toteż pani Neli wróciła w rodzinne strony nadziana setkowymi banknotami dolarowymi jak przysłowiowy indor.

Dwaj bułgarscy przyjaciele pani Neli, zamieszkali w Plowdiw, odznaczali się nie tylko towarzyskim wdziękiem, ale także rozsądnym podejściem do interesów. Kruczowłosy Zoran, trzydziestolatek, obejrzał w skupieniu plik dolarów okazanych przez panią Neli w jej prywatnym mieszkaniu.

— Papier drewniany — powiedział beznamiętnie, co pani Neli przyjęła jako pochwałę i przetłumaczyła jako „papier drzewny".

— Kit — oznajmił gwarowo drugi przyjaciel rozwódki, pan Enciu, 26-letni brunet, przystrzyżony jednak krócej niż Zoran i tęższy w pasie o dobre 10 centymetrów. — Zobacz, kotku, że numerki powtarzają się.

— Numerki? — zapytała niewinnie blondynka — a nie mogą się powtarzać?

— Mogą — wyjaśnił flegmatycznie Enciu — jednakże nasza milicja nie lubi, jak się powtarzają.

— Co naszą milicję obchodzą dolary? — westchnęła kobieta.

Panowie wzruszyli ramionami. Nastrój uległ ochłodzeniu, plik „drewnianego papieru" spoczywał jak wyrzut sumienia na wieku podróżnego nessesera pani Neli. I wtedy Zoran wygłosił natchnione przemówienie:

— Pamiętajcie o turystach, zwłaszcza o turystach z Polski. Cudowni ludzie, kiedyś, jak wiecie z historii, bili się z Turkami. Nawet ich pobili. A teraz przyjeżdżają do nas opalać się w Złotych Piaskach, szaleć w Warnie, oglądać cerkiew świętej Zofii w stolicy. Tych oglądających cerkiew jest stosunkowo mało i oni nie tak bardzo nas obchodzą. — Oni — szukał właściwych słów — oni się zrobili narodem handlowym a na punkcie samochodów są po prostu „gek", jak mówią turyści holenderscy. Im się opłaca kupować w Polsce samochody za dolary i za dolary sprzedają tu kapy, ręczniki, krem nivea, bardzo dobry do opalania. U nas dolary są tańsze, niż w Polsce. Rozumiecie?

Pani Neli skinęła utlenioną główkę, a pan Enciu podniósł palce jak do odpowiedzi w szkole.

— Chwileczkę, Zoran. Taki turysta z Polski kupi niewątpliiwe dolary po dobrej cenie, ale też potrafi zobaczyć, że numerek się czasem powtarza. Potem powie milicji, że jakiś Zoran albo Enciu sprzedali mu drewniany papier, a wtedy...

— Jest turysta i turysta — zakończył Zoran. — Jest mądry turysta i głupi turysta. Młody turysta — głupi handlowiec. On kupi tanio i sprzeda drogo staremu turyście. Rozumiesz? Widziałeś tych młodych, którzy kręcą się za byle handelkiem, żeby zarobić na hotel i obiad w restauracji? Widziałeś ich w War-

szawie, Sofii, Złotych Piaskach i tu w Plowdiw też zobaczysz. O nich myślę i oni mi się najbardziej podobają. A w dodatku oni na pewno nie pójdą ze skargą do milicji.

* * *

Pod koniec lat siedemdziesiątych Europa zalana została falsyfikatami dolarów. Pani Neli i jej wspólnicy stanowili tylko małe ognisko szerzącej się epidemii, Andora zaś była jednym z czerwonych punkcików na mapie Interpolu, zmagającego się z fałszerzami. Czerwone punkciki wykwitały w wielu innych państwach kapitalistycznych (w Polsce zresztą również znaleźli się „fachowcy", próbujący szczęścia przy produkcji bankowych biletów skarbu USA — ale wpadli szybko).

Pisanie w tych sprawach w czasie przeszłym wynika z intencji zachowania chronologii konkretnej afery; dziś w Warszawie, Poznaniu, Łodzi czy Mszanie Dolnej również drukuje się przy pomocy kserografu imitacje dolarów... (często powiększone do plakatowych rozmiarów, ozdabiają ściany i bufety np. ajencyjnych zakładów gastronomicznych, konkurując z reklamami zagranicznych papierosów i koniaków). Nic, że reklamowych towarów nie ma w sprzedaży: swoisty „smak" dekoracyjny dyktuje prawa i wizerunek dolara ma w owym prowincjonalnym błazeństwie odpowiedni udział. Zdarza się, że plakacik, zamiast ozdabiać bufet, wciśnięty zostanie do ręki podpitego łowcy okazji jako autentyczny banknot — są to jednak wypadki, należące do rzadkości. Co innego seria andorska, której sygnałem było zatrzymanie niewinnej pani Leespack, żony właściciela drogerii w Oakland — ta należała do gatunku fałszerstw na odpowiednim poziomie technicznym. Policja hiszpańska i francuska dość

szybko uwinęła się z wykryciem fałszerzy, natomiast owoce przestępstwa, czyli studolarówki, wędrowały po świecie niezależnie od osadzonych za kratkami ich producentów. Dla obywateli polskich sprawa daleko produkowanej serii andorskiej nie miałaby znaczenia, gdyby nie włączyła się do akcji grupka młodych ludzi, pragnących żyć beztrosko, bez pracy i to na wysokiej stopie.

Podróż cortiną

— Ładny wóz — powiedział Zdzisław Koniczny sadowiąc się na tylnym siedzeniu forda-cortiny.

— Szybki — mruknął Zoran zajmując miejsce kierowcy. — Za dwie godziny będziemy w Sofii.

Enciu klepnął Zdzisława po kolanie i uśmiechnął się jak dobry wujcio, prowadzający siostrzeńca do ogrodu zoologicznego. Podobał mu się ten młody Polak, twarz amanta z niesławnego serialu o redaktorze Maju, maniery instruktora kulturalno-oświatowego i bezpretensjonalny sposób bycia. Zawarcie znajomości w barze hotelu „Lipsk" w Plowdiw odbyło się bez trudności: najpierw podesłali Polakowi kelnera Mitko i kelner bez żenady oferował do sprzedaży dolary, mrużąc przy tym znacząco oko. Fałszywych nie kupię — powiedział Koniczny — i pan za drogo chce. „Ja wyjeżdżam do Polski na urlop — mruknął kelner — a pan możesz sobie pojechać na wycieczkę do Sofii. Samochodem, z moimi kolegami. Co pan będziesz siedział w Plowdiw". Początkowo Zdzisław nie wiedział, czy to żarty, czy trafił mu się jakiś fuks, ale na widok forda-cortiny zrozumiał, że jeżeli nawet ktoś żartuje, to ma ze swoich dowcipów niezły dochód.

Jechali piękną drogą i rozmawiali niezbyt wiele,

głównie dlatego, że Zoran mówił słabo po polsku, a Enciu w ogóle mówił mało. Podczas krótkiego postoju, po zatankowaniu benzyny, Enciu wyciągnął z kieszeni papierośnicę i grubo wypchany portfel. Nie schował go, gdy cortina poderwała się do ostatniego odcinka trasy. Portfel przyciągnął wzrok Zdzisława, gdziekolwiek obrócił oczy, ciągle widział napęczniały, matowo połyskujący prostokąt z ciemnej skóry. Enciu obojętnie przygładzał włosy targane wiatrem ciągnącym od uchylonej bocznej szyby.

— Pan zapomniał portfela — wykrztusił wreszcie Zdzisław.

— Zapomniał? Nie zapominam o takich drobiazgach — rzekł Enciu. — Może chciałbyś zobaczyć co tam jest? — Nie czekając odpowiedzi, rozłożył płaty portfelu. Koniczny zataił oddech. Zielone papierki, ciasno zbite w podłużne deseczki zapełniały obie przegródki a luzem, między przegródkami było ich jeszcze więcej.

— Same setki — wyjaśnił Enciu.

Zdzisław Koniczny miewał już w życiu parę razy trochę pieniędzy, ale taką fortunę oglądał dotychczas tylko na ekranie.

— Że co? Ile tego jest?

— Sześć tysięcy. Sześćdziesiąt odcinków po sto. Łatwy rachunek.

— Dolary u was są po trzy lewa, na czarnym rynku.

— Zależy — spokój Bułgara imponował Konicznemu. — Można kupić nawet po półtorej lewa, jeżeli komuś dopisze szczęście. Można nie mieć szczęścia i wtedy płacisz po trzy dwadzieścia.

— A te pańskie, po ile?

Enciu nie próbował się nawet uśmiechać.

— Moje są po dwadzieścia dolarów na setkę.

— Że co?

Powiedziane zostało już wszystko, bez używania drażniących ucho określeń „fałszywe", „podrabiane". Po prostu jeden dolar za pięć. Jeżeli Zdzisław płaci za hotel pięć lewa za dobę, mógł zrobić z jednego dnia cudownych wakacji pięć dni.

Enciu dopiero teraz schował portfel, nie spiesząc się zresztą. Wyjeżdżali na przedmieście Sofii, mijali małe straganiki pełne wielobarwnych owoców, zapach smażonej oliwy kłócił się z wyziewami spalin. Zoran za kierownicą cortiny powiedział kilka słów, których Koniczny nie pojął.

— Co on mówi? — zapytał.

— Mówi, że zjecie obiad w hotelu „Balkan". On i ty. Ja mam parę spraw do załatwienia, spotkamy się wieczorem w hotelu „Hemus", tam mamy wynajęte pokoje. Wszyscy trzej.

Nie, to nie były żarty. To była Europa z amerykańskich filmów.

Zjazd „studentów" w hotelu „Balkan"

Może istniała jakaś skaza w urodzie Krystyny Pietrzak, może zbyt pełne wargi wymagały odrobiny retuszu i może siniejący ząb w dolnej szczęce należałoby usunąć, wstawiając kawałek szlachetnego porcelitu — ale takie szczegóły ginęły wobec całej reszty, prezentowanej przez 23-letnią bydgoszczankę, technika rolniczego.

Zdzisław Koniczny zrozumiał, że imienniczka jego narzeczonej, recepcjonistki Farskiej, jest kobietą na miarę wydarzeń, w których uczestniczył. Chociaż restauracja hotelu „Balkan" zasługiwała na miano reprezentacyjnej, nie stanowiła dostatecznej oprawy dla urody panienki.

— Patrzcie — powiedziała panna Krysia wesoło,

gdyż była lekko wstawiona — tego pięknisia jeszcze nie znamy. Jak się uchowałeś, w *naszej* Bułgarii? Nie widziałam cię ani w Złotych Piaskach, ani w Starej Zagorze. Nie mogłeś też być w Burgas...

— Przywiozłem go z Plowdiw — oznajmił Zoran.

— No, to czas się przedstawić — bydgoszczanka wskazała kolegów i koleżanki, obsiadłych okrągły stół pod żyrandolem z fałszywego kryształu. — Lucek Grajdem, student, Marek Piast, student, to Jolka i Ewa... a ty?

— Dzidek, student — wypalił Koniczny przyglądając się uważniej potencjalnym rywalom do względów bydgoszczanki niż Ewie i Jolce. Obie młode i szykowne, nie mogły jednak konkurować z Kryśką i wszystkie trzy o tym doskonale wiedziały.

Student AGH, Lucjan Grajdem, w „cywilu" absolwent szkoły podstawowej i potencjalny kierownik punktu ajencyjnego zdobył się na odrobinę szacunku wobec studenta SGPiS, nie przypuszczając, że ma do czynienia ze zwyczajnym instalatorem. Natomiast trzeci student, Marek Piast, nie lubił studentów i nie miał dla nich cienia sympatii odkąd skreślono go z listy prawdziwych studentów na II roku AWF. Wprawdzie pozostał mu zdobyty w technikum zawód montera urządzeń elektronicznych, ale nie uważał tego za powód do chwały.

— Więc — przemówił znad kieliszka koniaku powracając do rozmowy toczącej się przed przybyciem trzeciego studenta-rodaka — w Budapeszcie była prawdziwa heca: to straszne małżeństwo wezwało policję...

— Na mnie w Berlinie też wzywali policję — powiedział student Grajdem — ale wszystkie dokumenty miałem w porządku. Odleciałem tym samym samolotem.

— Co wy ciągle o policji — pisnęła Ewa — ja mam ochotę na banany.

— Nie ma bananów, są pomarańcze — powiedział Piast — Zaraz zamówię.

— Ewka ma rację — roześmiała się panienka z Bydgoszczy. Ja jeżdżę do Bułgarii przez pół roku i ani razu mnie nie ligitymowali. Tylko po ubawie w „Nnsoli", ale też bardzo grzecznie. A było niezłe mordobicie.

Zoran skinął poważnie głową.

Cieszył się z radosnego nastroju przy stole, chociaż sam płacił rachunek i to wcale nie falsyfikatami dolarów pani Neli.

— Nasza milicja — wygłosił po polsku — nie napada na turystów. Turysta święta krowa. Turysta płaci walutą, zwiedza, daje żyć. Jak się turysta pobije z turystą, nasza milicja robi spokój, ale więcej nic. Macie dobrze. Nasz kraj jest gościnny.

Co do gościnności Bułgarów i uprzejmości tamtejszej milicji nikt nie zgłaszał zastrzeżeń. Dzidek Koniczny, chociaż miał za sobą kilka drobnych kradzieży, popełnionych za czasu swej ubiegłomiesięcznej bytności w Bułgarii, również przyznał, że tutejsze władze nie prześladują spokojnych turystów-studentów z zaprzyjaźnionego kraju.

— Za Bułgarię! — podniósł kieliszek i napotkał wzrok bydgoszczanki. Przeszedł go dreszcz: piękna absolwentka technikum rolniczego nie cofnęła oczu, a kąciki jej pełnych warg drgnęły w półśmiechu. „Muszę dziś jeszcze wiedzieć, gdzie ona nocuje. I który z tych studentów jest najgroźniejszy" — pomyślał. Przyszło mu do głowy, że taka dziewczyna, być może jest pod opieką jakiegoś Zorana albo nawet Enciu, lecz talent kaowca z „Najady" powinien sprostać każdej próbie.

Rozmowa o ryzyku

Lucjan Grajdem, Dzidek Konieczny, Marek Piast, panna Ewa i panna Krysia czy panna Jolka nie stanowili przed przyjazdem do Bułgarii zgranej paczki. Przyjeżdżali do Bułgarii najpierw z nieśmiałą nadzieją, że spędzą kilkanaście miłych dni, pokrywając koszta pokątnym przemytem jakiegoś kremu, tuzina ręczników frotte lub kilkoma żelazkami z nawilżaczem. Nadzieje ich spełniały się, a fama szła w Polskę. Młodzi ludzie — zbrojarz z Radomia, cukiernik z Łodzi, eksstudent z Krakowa i wielu innych — pożyczali pieniądze od krewniaków i znajomych, aby spróbować uroków turystycznego żywota, przy okazji uprawiając drobny, a korzystny przemyt. W Bułgariii, jak we wszystkich krajach, tworzyły się automatycznie grupki miejscowych kombinatorów, pragnących zmonopolizować skup przemycanych towarów. Zaczynała działać równocześnie zależność podaży i popytu, starannie przez półświatek oceniana. Z praktyki nasuwał się wniosek: dla przemytnika — Polaka najbardziej poszukiwanym towarem był dolar. „Handlowcy" bułgarscy w rodzaju pani Nel, pana Enciu lub Madżera nie potrafili fałszować dolarów, natomiast podjęli się śliskiej sztuki rozprowadzania gotowych lub falsyfikatów. Niezręcznie jednak byłoby wędrować po rojnych placach i ulicach własnych miast i zaczepiać obcokrajowców konspiracyjnymi szeptami, najłatwiej wykorzystać w tym celu łaknących szybkiego zysku młodych, w gruncie rzeczy naiwnych turystów z Polski. Ci zasmakowali już w atmosferze znanych kurorów, pokochali klimat i znakomite wina, myśl o powrocie do szarej egzystencji w fabrykach i biurach własnej ojczyzny przyprawiała ich o wstręt. Pragnęli przedłużyć iluzję, nawet za cenę

niebezpieczeństwa. Rodzi się między nimi więź wspólnego interesu, pozostaje do rozstrzygnięcia tylko problem, jak ograniczyć ryzyko handlu. Przewożenie dolarów do Polski nie bez racji oceniane jest przez grupę jako nie wróżące długodystansowego powodzenia, płacenie falsyfikatami w Bułgarii grozi natychmiastową wpadką. Ale jest furtka! Oto w kurorach bratniego kraju pojawiają się rzesze rodaków, traktujących pobyt w Bułgarii głównie jako atrakcję turystyczną, jako urlop lub zabawę. Pobędą tu tydzień, dwa i wrócą do Polski, do swoich zajęć, a przy okazji (znowu ta okazja...) chętnie kupią coś, co przewiezione przez granicę, zwróci koszt urlopu. Najchętniej — dolary, bo łatwe do przewiezienia.

Idea nie ma pozornie rysy: przede wszystkim wyklucza z gry miejscową milicję. Polak, który kupuje od Polaka dolary, chociażby i nielegalnie, nie zagraża interesowi skarbu bułgarskiego. A ponadto — ktoś kupujący nielegalnie towar, nie pochwali się taką transakcją miejscowym władzom.

Dzidek, Lucjan, Krystyna — wymienieni zgodnie z prawdziwymi imionami lecz fikcyjnymi nazwiskami — są jądrem sporej, kilkadziesiąt osób liczącej grupy polskiej młodzieży, która odkryła możliwość przedłużania „bułgarskiego snu". Nie trzeba jednak zapominać o przysłowiu, że apetyt rośnie w miarę jedzenia...

•

— Sprzedać lipne dolary potrafi każdy — powiedział skacowany Piast do Konicznego, kiedy usiedli przy barku i zamówili kawę — najwięcej forsy mają z tego Enciu i Zoran, a my żyjemy ochłapami. Wiesz, ile dałem za kożuch Ewki?

— Że co? — odpowiedział Dzidek — ja nie kupowałem kożucha tylko trochę skór.

— Dolary to żadna lokata — snuł Marek Piast — dolar będzie spadał. Kiedyś wrócimy przecież do Polski. Trzeba kupować marki RFN.

— Fałszywe?

— Po co ci fałszywe. Można też kupić ruble. Ruble są modne, dużo ludzi jeździ do ZSRR. Ale handelek dla Enciu nie podoba mi się. My odwalamy całą robotę. Ile opchnąłeś Zoranowi w Sofii?

— Coś koło dwóch tysięcy.

— A ja drugie tyle. I zarobiłem dwieście sześćdziesiąt lewa, bo Polki kupiły po trzy dwadzieścia. Widocznie składają na samochód.

— Ładne chociaż te Polki?

Marek Piast podetknął Dzidkowi pod nos kieliszek koniaku, który podawano nagminnie jak w Polsce wódkę, ale w mniejszych naczyniach. Dzidek odsunął kieliszek, rzadko pił alkohol, a rano nie pijał w ogóle. Powtórzył pytanie o urodę oszukanych rodaczek.

— Ładne? Jakie tam ładne. Jedna stara, druga po czterdziestce. Jutro już wracają do Polski. Chwilowo wolę się nie kręcić po mieście. Wiesz, wykiwana baba może narobić głupstw. Samochodu im się zachciało w pewexie! — Marek wypił swój kieliszek z niesmakiem i powiedział:

— A ładna to jest Kryśka. Może nie?

— Ona z kimś kręci?

— Z „Zającem", inaczej „Arabem", ze mną. I jeszcze jest „Cukiernik".

— Że co? — Koniczny doznał zawrotu głowy. Tylu do jednej?

— No, mamy trochę kolegów. Wszystko chłopaki bystre, nie pierwszy raz w Bułgarii. A Kryśka nowoczesna babka.

Koniczny mocno spocony zmienił temat.

— Bystre chłopaki? Sam powiedziałeś, że Zoran i Enciu mają najlepszy zarobek, a my największe ryzyko.

— Nasze ryzyko nie jest znowu za duże: pomyśl, Dzidek, kupujesz ode mnie nielegalnie dolary a potem widzisz, że nie są takie, jak trzeba. Polecisz na ichnią milicję, przyznasz się do karalnej transkacji? Nie polecisz. Wrócisz do kraju po cichutku i spróbujesz wydać pieniądze tam, gdzie nie bardzo sprawdzają. U jakiego prywatnego, albo co...

— Można zarobić powiedział Koniczny z namysłem i teraz rzeczywiście wyglądał jak student przygotowujący odpowiedź na trudne pytanie egzaminującego. — Można zarobić, ale nie tak, jak wy. Sam powiadasz: kto się nadzieje na minę, nie poleci do milicji, bo sam w strachu.

— Jasne.

— No więc: jak można zrobić duży numer, po co iść na mały?

Były student AWF przyglądał się koledze z napięciem. Dzidek, chociaż małego wzrostu i trochę za bardzo rozgadany, nie wyglądał na głupka. Marek Piast czekał dalszych wyjaśnień.

— U nas w szko... na akademii — poprawił Dzidek szybko — jak kogoś nabieraliśmy na kawał, to się mówiło, że zrobiliśmy z niego wała. I tak zostało: „zrobić wałek" Ja sobie kombinuję, że tu można wykręcić bardzo ładny wałek.

— Z Enciu? — podchwycił szybko Piast. — Nie próbowałbym.

— Nie z Enciu i nie z Zoranem. Z tymi co kupują.

— Nic innego nie robimy.

— Robimy głupio — marzycielsko westchnął Dzidek. — To wszystko nie to. Dwieście lewa, sto lewa... Na dobry ubaw w „Bałkanie" nie starczy. Ja

myślę o prawdziwym wałku, o takim, że ludzie wnukom będą opowiadać. W Krakowie był facet, który sprzedał ołtarz Wita Stwosza i o czymś podobnym właśnie myślę.

Marek Piast wypił drugi koniak, tym razem bez skrzywienia.

— W Sofii nie ma ołtarza Stwosza. A ikony z cerkwi świętej Zofii nie kupi nawet najgłupsza córka amerykańskiego milionera.

— Kupi nie kupi, potargować można — roześmiał się Dzidek, który miał już gotowy plan. — Ściągnij na jutro swojego „Zajączka" i „Araba", porozmawiamy.

Do Bułgarii przyjeżdża miesiąc w miesiąc wielka liczba polskich turystów, nie poszukujących bynajmniej sposobności zarobku. Ogromna większość Polaków odwiedzających Warnę, Sofię, Burgas, Złote Piaski czy Plowdiw nie myśli o interesach, co najwyżej nosi się z zamiarem nabycia jakiejś pamiątki, a już ci najbardziej podatni namiętności handlowej, przemyśliwają kupno kożuszka, zważając za szczyt „przestępczej" działalności uniknięcie opłaty celnej. Wywozowej, gdyż za przywiezienie jednego kożuszka do Polski nasze władze nie żądały cła...

Na takich gości czekali młodzi pasożyci rozproszeni po bułgarskich ośrodkach wypoczynkowych, czekali Dzidek, Marek, ucjan, a także ich urodziwe lub mniej urodziwe kompanki. Na marginesie podać wypada (albo: nie wypada), że dziewczęta, które w Polsce liczyły się z opinią rodzin i środowiska, z dala od kraju czuły się zwolnione z przestrzegania norm obyczajowych i nie wahały się wykorzystywać swych wdzięków w sposób najbardziej przydatny w interesach.

Syn Szejka sprzedaje dolary

Dwaj elegancko, chociaż zbyt poważnie ubrani panowie, wysiedli z czarnej limuzyny oznaczonej polskimi znakami rejestracyjnymi i stanęli obok strzykającej ku niebu fontanny. Plac, zarojony tłumem przypominał ulicę Monte Cassino w Sopocie, w lipcu.

— Przypomniałem sobie — powiedział elegancko ubrany pan do kolegi — muszę kupić żonie różany olejek.

Drugi elegant odparł że mają tylko godzinę wolnego czasu, ponieważ o godzinie 16-tej jest ważna konferencja. Udział obu panów w ważnej konferencji był (w ich mniemaniu) koniecznością. Przyjechali z tzw. ekipą i mieli pisać sprawozdania. Nie wiadomo, czy te sprawozdania ktoś później czytywał, ale panowie uważali siebie za redaktorów, gdyż tak ich tytułowano w hotelu „Europejskim" w Warszawie.

— Olejek jednak muszę nabyć, moja żona bywa w takich sprawach nieubłagana — snuł pierwszy z redaktorów. — Gdzie to się kupuje? W kwiaciarni czy w Domu Towarowym?

— Kupić można wszystko — oznajmił młody człowiek w dżinsowych spodniach i koszulce polo, wynurzając się jakby spod chodnika przy cembrowinie fontanny. — Dla rodaka na obczyźnie...

— Polak! — ucieszył się redaktor poszukujący olejku. — Pan zna miasto?

— Znam, jestem tutaj przejazdem z Istambułu. Prowadzę międzynarodową grupę studentów. — Dzidek Koniczny był przeświadczony, że jeśli potrafi zachować się godnie w roli studenta, nie wypadnie gorzej jako przewodnik. — A pan, słyszałem, chce coś kupić? Co pan szanowny uważa?

— Olejek różany.

— Tego zatrzęsienie. Myślałem, że coś poważniej-

szego. Są akurat dolary — nie zniżył nawet głosu — po bardzo korzystnej cenie.

— Olejek — powtórzył uparcie redaktor, lecz nagle ożywił się jego milczący kolega.

— Dolary? Po ile?

— Dla rodaka pół ceny. Trzy lewa — Dzidek strzelał w ciemno.

— Drogo.

— Że co? Nie wiem, może udałoby się taniej. Zależy od ilości. Ja sam nie posiadam, tylko jeden student. Arab z mojej wycieczki.

— Kupiłbym może pięćset — powiedział redaktor. — Ale po dwa i pół.

— Jak dwa i pół to i ja wezmę pięćset — zadecydował amator różanego olejku. — Gdybym kupił dolary, może nie musiałbym kupować olejku.

— Nie wiem, proszę panów, co da się zrobić — Dzidek ledwie stłumił chęć odtańczenia przy fontannie triumfalnego marsza, grającego mu w uszach. — Widzi pan tego Araba, co stoi przy wejściu do hotelu, oparty o białego mercedesa?

— Widzę.

— No właśnie. To mój Arab, Ali Muhamed. Ma kupę dolarów, jego tatuś jest szejkiem naftowym. Ali śpi na dolarach, tarza się w dolarach, ale nie handluje. To jest mahometanin i ma zasady. Może jako mój osobisty przyjaciel odstąpi głupi tysiąc dolarów, ale nie wiadomo. On w ogóle nie rozmawia z niewiernymi.

Panowie redaktorzy przyglądali się z podziwem Arabowi opartemu niedbale o błotnik białego mercedesa. Arab był młody, śniady, wyraźnie znudzony, jakby lekko podpity. Jednakże wiadomo, że prawowici wyznawcy Koranu nie używają alkoholu.

— Niech pan porozmawia z Arabem — ponaglił redaktor — Nie mamy dużo czasu.

— Już się robi! — Dzidek Koniczy przyspieszonym krokiem ruszył w kierunku hotelowego parkingu.

— My, dziennikarze — snuł swoją myśl redaktor — jesteśmy strasznie zapracowani a przy tym musimy wykazywać bystrość. Umiejętność oceny sytuacji. Ocena ludzi, zjawisk...

— To właśnie — zgodził się kolega. Obserwował przy tym gwałtowną gestykulację młodego rodaka, który rozpoczął rozmowę z Arabem Ali Muhamadem. Syn szejka kiwał głową w obie strony i niecierpliwość ogarnęła serca redaktorów.

— Okazja — powiedział ten od olejku — kupiłbym nowego fiata. Żeby tylko Arab się zgodził...

Przybiegł Dzidek, nieco zdyszany, ale wyraźnie zadowolony.

— Macie panowie szczęście! — zawołał Ali — mówi „tak". Nie targowałem się, za tysiąc dolarów dwa i pół tysiąca lewa. Panowie macie pieniądze przy sobie, naturalnie?

— Naturalnie.

Poszli teraz we trzech i zobaczyli, że Arab znika zo obrotowymi drzwiami hotelu. Zobaczyli go dopiero wewnątrz holu, pod zegarem wskazującym godzinę 15.35.

— Zaraz nasza konferencja!

— O, to pójdzie szybko — zapewnił Dzidek. — Nie wsiadamy do windy, idziemy z Alim schodami, on mieszka na pierwszym piętrze, w apartamencie. Nie możemy tam wchodzić wszyscy trzej, on nie wpuszcza niewiernych, tylko dla mnie robi wyjątek. Gdzie pieniądze?

— Proszę — powiedział redaktor odliczając banknoty otrzymane wczoraj w banku. Drugi redaktor liczył swoje lewa i dłużej i bardziej starannie. Nie zauważył nawet, że młodemu przewodnikowi międzynarodowej wycieczki studentów trzęsą się ręce.

Stanęli przed drzwiami, za którymi zniknął Arab. Dzidek położył palec na ustach i zapukał. W korytarzu pierwszego piętra luksusowego hotelu płonęły żółte lampiony, czerwony chodnik pochłaniał blask. Pachniało pastą do podłogi i toaletowym mydłem.

Drzwi z czarnego drzewa uchyliły się i wyjrzała kędzierzawa głowa Muhamada. Dzidek Koniczny dostojnie wszedł do wnętrza apartamentu, pozostawiając obu redaktorów na korytarzu. Panowie zapalili papierosy i wdali się w pogawędkę na temat ważności niektórych konferencji, z których pisali sprawozdania.

— Już za dziesięć czwarta — powiedział ten bardziej obowiązkowy — nasz kierowca czeka przy fontannie. — Arab musi mieć dolary schowane w jakimś sejfie.

— A ty byś trzymał pod poduszką

Po następnych pięciu minutach oczekiwania stracili cierpliwość. Zaczęli stukać do drzwi apartamentu syna szejka, ale nikt nie odpowiadał. Redaktor, mający nabyć olejek był tak zdenerwowany, że po prostu nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Ale zamiast wytwornego apartamentu zdumieni redaktorzy zobaczyli puste, do czysta wymiecione schody i czerwone strzałki, wskazujące drogę ewakuacyjną na wypadek zagrożenia pożarem. Zapominając o ważnej konferencji pognali schodami szukając Alego i przewodnika wycieczki, jednakże schody zaprowadziły ich na woniejące rozprażoną oliwą podwórko. Bystrość, jaką okazywali do tej pory, nakazała im przyjąć, że zostali oszukani w najbardziej ordynarny sposób.

— Milicja! — zawołał w głąb podwórka amator olejku, ale towarzysz ścisnął go za ramię.

— Cicho bałwanie! Ani słowa! Jesteśmy z ekipy,

przyjechaliśmy na konferencję! A co powiemy bułgarskiej milicji, że chcieliśmy kupować dolary?

Z okna kuchennej sutereny wyjrzała opalona, kobieca twarz. Dwaj eleganccy panowie skłonili się przepraszająco i boczną bramą wyszli na ulicę. Przed portalem stał biały mercedes, a przy fontannie czerniał znajomy kształt służbowego samochodu redaktorów.

— Nie pójdziemy na konferencję — powiedział obowiązkowy. — Pójdziemy za resztę pieniędzy na wódkę.

— Kupię jeszcze olejek — przypomniał sobie drugi redaktor.

Sprawozdanie z ważnej konferencji nie zostało napisane, lecz przeszło to jakoś niezauważalnie wobec bogactwa innych informacji, zalewających Europę.

Groźne sygnały

17 września 1977 roku funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej w A. zatrzymał obywatelkę, kupującą w miejscowym sklepie pewexu szminki oraz pastę do zębów colagate. Obywatelka podała kasjerce niezbyt udolnie sfałszowany banknot 100 dolarowy. Przesłuchana w komendzie nie potrafiła udzielić wyjaśnień, jak weszła w posiadanie falsyfikatu. Twierdziła, że otrzymała dolary od kuzynki, bawiącej przejazdem w Warszawie.

23 września 1977 roku doprowadzony został do Komendy Dzielnicowej w B. 60-letni rencista zatrzymany w sklepie pewexu przez funkcjonariuszy MO w chwili, gdy wręczał kasjerce fałszywy banknot studolarowy. Przesłuchiwany zeznał, że otrzy-

mał dolary od szwagra, przebywającego na wycieczce w Polsce, zamieszkującego na stałe w USA.

1 października 1977 roku w C. zatrzymana została młoda kobieta, usiłująca zdeponować na koncie bankowym 850 dolarów USA. Trzy spośród setkowych nominałów okazały się sfałszowane.

Panna Krysia nie lubi łysych

Powróciwszy ze Złotych Piasków do sofijskiego hotelu „Republica", w grudniu roku 1977, Krystyna Pietrzak zatrzymała się w tym samym pokoju, który zajmowała przed wyjazdem. Wieczorem, po wizycie u fryzjera, młoda bydgoszczanka spotkała w holu recepcyjnym Zdzisława Konicznego w towarzystwie 28-letniego Zbyszka Trojniaka, betoniarza-zbrojarza, mieszkańca Radomia. Obaj panowie wyrazili radość z przybycia panny Krystyny, przy czym Zbyszek Trojniak okazywał swoje uczucia bardziej powściągliwie, niż Dzidek. Dzidek najpierw objął dziewczynę i pocałował w usta a następnie przemówił z wyrzutem:

— Znowu się puszczasz z Bułgarami. Jak ty się nie wstydzisz!

Znudzony recepcjonista, który już umiał sporo słów po polsku dzięki ustawicznym kontaktom z turystami, bardzo dobrze zrozumiał sens wypowiedzi Konicznego. Odwrócił więc oczy, aby nie obserwować sceny zazdrości.

Oczekiwana scena nie wybuchnęła jednak ani w holu recepcji ani później, a w apartamencie panny Krysi zarzuconym fatałaszkami i straszącym niepościelonym łóżkiem. Dzidek, chociaż zazdrosny o najpiękniejszą turystkę zwiedzającą bratnią Bułgarię, miał na głowie sprawy zawodowe a przy tym sam

nie był bez grzechu: w czasie nieobecności panny Krysi zdążył się przespać z Ewką i Jolką a także nowo przybyłą do Sofii turystką, Renatą S. Zwłaszcza panna Renata S. wywarła na byłym kaowcu z „Najady" szczególnie korzystne wrażenie: była świeżutka, czyściutka, sprawiała wrażenie dziewicy i absolwentki prowincjonalnego liceum ogólnokształcącego. Jak się okazało przy bliższym poznaniu, rzeczywiście była absolwentką średniej szkoły w O. pod Krakowem. Tak więc Dzidek nie urządził sceny, usiadł na rozbebeszonym łóżku i wskazawszy Zbyszkowi Trojniakowi krzesło, powiedział:

— Kryśka, jutro będziesz mi potrzebna.

— A dzisiaj nie? — zapytała zalotnie bydgoszczanka.

— Dzisiaj na co inne, a jutro na co inne — wyjaśnił. — Pokażę ci rano jednego takiego w restauracji. Polak, łysawy, koło czterdziestki.

— Nie lubię łysych.

Milczący dotychczas Trojniak poruszył się na krzesełku.

— Wyjechać mu nikt nie zabroni — powiedział. — Ale to strasznie ładowany gość.

— Mówi się ładowny — poprawił Dzidek. — Ale Zbyszek ma rację. Głupio mu tak dać wyjechać: dolarów nie kupuje, syn szejka go nie obchodzi, tylko za dziwami się rozgląda. Najlepiej będzie, jak go zapoznasz i weźmiesz do hotelu Reni. U Reni ładniej, niż u ciebie.

— Byłeś u niej?

Dzidek zlekceważył pytanie.

— Byłem nie byłem, jutro tam pójdziesz z łysolem. On nosi pieniądze przy sobie, w płóciennym woreczku na szyi. Widać przez koszulę. Twoja rzecz, jak zrobisz, żeby o trzeciej spał. My ze Zbyszkiem pomartwimy się o resztę.

Panna Krysia, technik rolniczy, zamarła. Żądano od niej czegoś obrzydliwego — i to żądał mężczyzna, deklarujący przed miesiącem płomienną miłość.

— Ty, Dzidek! Ja pupy w toto-lotka nie wygrałam — powiedziała ostrym tonem. — Nie rób ze mnie...

— Że co? Nie, to nie. Chciałem ci tylko powiedzieć, że gość ma najmarniej tysiąc rubli i ze dwa tysiące marek RFN, a prawdziwych dolarów też mu nie brakuje. Działka na trzy części, dla ciebie, dla Zbyszka i dla mnie. Nikt inny nie wie o wałku.

— Łady wałek — dodał Zbyszek i popatrzył wyczekująco na technika-rolnika z Bydgoszczy.

— Na trzy części... — rozmyślała głośno panna Krysia, zapominając chwilowo o toto-lotku. — To byłoby coś. O której mi go pokażesz?

Groźne sygnały

Przed świętami Bożego Narodzenia Jadwiga N. usiłowała nabyć fiata 126 p w pewexie, wpłacając do kasy 1.300 dolarów USA, w tym siedemset w fałszywych banknotach studolarowych.

W pierwszych dniach Nowego Roku 1978 funkcjonariusze MO zatrzymali w E. dwóch braci, usiłujących dokonać zakupu fiata 125 w miejscowym pewexie. Bracia wpłacili już gotówkę i przyszli odebrać samochód, gdyż kasjer przyjął pieniądze i dopiero przy zdawaniu kasy, okazało się, że otrzymał około 1.000 dolarów w podrabianych metodą poligraficzną odcinkach 100 dolarowych. Bracia wytłumaczyli prokuratorowi Prokuratury Rejonowej w E., że pieniądze uzyskali ze sprzedaży cieplarnianych pomidorów, od ajenta gastronomicznego. Zatrzymany

ajent stwierdził, że przywiózł dolary z Łodzi, gdzie nabył je okazyjnie od niemieckiego turysty.

8, 10 i 11 stycznia trzy prokuratury rejonowe w Polsce na terenie województwa elbląskiego, toruńskiego i radomskiego otrzymały sygnały o obywatelach dokonujących zakupów w sklepach pewexu przy pomocy sfałszowanych banknotów 100 dolarowych.

14 stycznia 1978 Eugenia S. zakupiła w sklepie pewexu dwa pudełka sardynek i czekoladę Sucharda, posługując się falsyfikatem 100 dolarowego banknotu. Zatrzymana przez MO, stwierdziła, że fałszywe pieniądze otrzymała od nieznajomego jej osobnika, najprawdopodobniej marynarza narodowości norweskiej. Aczkolwiek sprawdzono, że w ostatnim czasie w F. nie notowano turystów ani marynarzy przybywających z Norwegii, gościł tu często marynarz z Finlandii. Wypadek w F. stał się swego rodzaju jubileuszem, była to równo setna uchwycona próba wprowadzenia w Polsce do obrotu podrobionych banknotów stodolarowych, z tej serii, którą Interpol sygnalizował jako „andorską".

Samolot odlatuje bez pasażera

17 stycznia 1978 roku Lucjan Grajdem żegnał się z żoną Heleną na peronie dworca krakowskiego. Usłyszał kilka niemiłych słów na temat swego trybu życia, zaniedbania dziecka. Usłyszał również słowa, podające w wątpliwość jego wierność małżeńską.

— Wrócę za miesiąc — oświadczył na pocieszenie — Zobaczysz, że wszystko zagra. I przywiozę dużo pieniędzy.

Pani Helena Grajdem, bynajmniej nie przekonana słowami męża, udała się do domu gotować obiad,

natomiast wojażujący małżonek poszedł do wagonu restauracyjnego zjeść drugie śniadanie. Nazajutrz odlatywał do Bułgarii z Okęcia.

Na Dworcu Międzynarodowym Centralnego Portu Lotniczego w Warszawie 18 stycznia 1978 roku pełnił od rana służbę celnik Andrzej Miszczak, niespełna 30-letni ale doświadczony pracownik. Tego dnia na lotnisku ruch był dość duży. Odlatywali ze stolicy Polski goście, przybyli na uroczystości związane z 35-leciem wyzwolenia Warszawy. Andrzej Miszczak starał się przywołać na twarz służbowy uśmiech, co przychodziło mu ze sporą trudnością. Kiedy zobaczył przed sobą młodego pasażera o spalonej na ciemny orzech twarzy, poczuł uczucie zazdrości. Pasażer odlatywał do Bułgarii, zapewne po to, by nadać swej twarzy barwę mahoniu.

— Pana bagaże? — zapytał rezygnując z uśmiechu.

— Ta walizeczka — odpowiedział pasażer.

— Nic więcej?

— Mam tu wszystko co mi potrzeba.

— Co pan deklaruje do oclenia? — zapytał celnik.

— Nic.

— Zupełnie nic? Proszę otworzyć walizkę.

Andrzej Miszczak nie dysponował żadnym „szóstym zmysłem", przypisywanym niejednokrotnie funkcjonariuszom służby celnej. Nie wierzył w istnienie innych zmysłów, poza znanymi nauce, jednakże nie wierzył także w pasażerów jeżdżących do Bułgarii prawie bez bagaży i nie mających niczego do oclenia. Jeżeli zdarzali się tacy, nie trafiali przed oblicze celnika, ponieważ posługiwali się paszportami dyplomatycznymi, a czekający na odprawę Lucjan Graidem legitymował się dowodem osobistym i wkładką.

— Pan jednak coś wiezie — perswadował łagodnie Andrzej Miszczak — może pan sobie przypomni?

— Nic nie wiozę — odparł turysta i spłonął rumieńcem, który ledwie zaznaczył się na opalonych policzkach.

— Wobec tego poproszę do kontroli osobistej — zaproponował grzecznie celnik i przywołał gestem ręki kolegę, Zbigniewa Krzyżaniaka.

— Jadę siódmy raz do Bułgarii i nigdy mnie coś podobnego nie spotkało! — zawołał oburzony pan Grajdem.

— Kiedyś trzeba zacząć — westchnął celnik i zaprowadził pasażera do izolowanego pomieszczenia. Rozebrany niemal do naga Lucjan Grajdem nie wydawał się przejęty rewizją, nie dostrzegł nawet, że celnik przypatrzył się króciutko ale z wyraźnym zainteresowaniem legitymacji studenckiej i biletowi kolejowemu Kraków—Warszawa, biletowi sprzedanemu według ulgowej taryfy. Lucjan Grajdem stał w skarpetkach przed celnikami i marzył o zajęciu miejsca w samolocie, który już oczekiwał na płycie lotniska. Ale kiedy celnicy kazali Lucjanowi zdjąć skarpetki, nadeszło nagłe zrozumienie, że tym razem samolot odleci ze zdekompletowanym składem pasażerów. W lewej skarpetce spoczywały „zakitrane" dolary, dwa setkowe banknoty. I nie to było najgorsze, bo przecież ludzie bywają ułomni, zdarza im się przemycić jakiś drobiazg i za takie rzeczy nie tylko człowieka nie powieszą, ale nawet nie posadzą. Ba, wręcz wypuszczą tym samym samolotem, spisując zaledwie protokół na użytek Kolegium Orzekającego. Jednakże obydwie setki były fałszywe, co doskonale wiedział Lucjan a czego celnik Andrzej Miszczak domyślił się natychmiast, obejrzawszy dolary pod światło.

„Cel życia”

Wiceprokurator Prokuratury Rejonowej Warszawa—Ochota, pani Alicja Wiłkojć-Baranowska na godzinę przed doprowadzeniem podejrzanego otrzymała wynik ekspertyzy Skarbca Banku Emisyjnego: zakwestionowane banknoty pochodziły z serii „andorskiej”. 18 stycznia podejrzany Grajdem oświadczył wprawdzie celnikom, że banknoty nabył od nieznanej osoby przed bankiem w Katowicach, lecz jeszcze tego samego dnia wyjawił funkcjonariuszowi MO z Komendy Centralnego Portu Lotniczego, że dolary kupił od jakiegoś Polaka w Sofii. Pani prokurator zastanawiała się, czy przyjdzie jej, podobnie jak wielu kolegom w kraju, poprzestać na wyjaśnieniach podejrzanego i stracić ślad przy jakimś „koniku” spod banku, przy ciotce zmarłej w USA lub fińskim marynarzu. Jeżeli jednak podejrzany w ciągu kilku godzin podaje dwie sprzeczne wersje, można przyjąć, że żadna z nich nie jest prawdziwa.

Wprowadzony do pokoju nr 114 prokuratury Rejonowej Lucjan Grajdem nie sprawiał wrażenia międzynarodowego oszusta, a tym bardziej nie wyglądał na takiego, który potrafi sfałszować bilet banku USA. Mimo to zdołał podrobić legitymację studencką i posługiwać się nią od roku, wyłudzając ulgowe przejazdy od PKP. Fałszerstwo legitymacji studenckiej było widoczne gołym okiem.

— Gdzie tak naprawdę kupił pan te dolary? — zapytała Alicja Wiłkojć. — W Sofii czy w Katowicach? Czy w Łodzi, bo coś pan najpierw mówił o Łodzi...

— Ani tu ani tu. Przypomniałem sobie: W Warnie. Kupiłem je latem w Warnie, od takiego jednego...

Prokurator Wiłkojć zrezygnowała chwilowo z pytań dotyczących sfałszowanej legitymacji oraz nielegalnie wywożonych czeków podróżnych NBP na sumę 13.500 złotych. Nie pytała też o dwie książeczki walutowe, które znaleziono przy Grajdemie, a które opiewały na inne nazwiska.

— Pan wiedział, że to są fałszywe dolary — powiedziała z przekonaniem w głosie. — Gdyby pan tak nie myślał, mógłby je pan wpłacić legalnie do banku na konto a potem wywieźć równie legalnie, nie narażając się na przykrości.

— Pani prokurator! Właśnie to, przykrości! Same przykrości... — przesłuchiwany bliski był szoku. — Przez te dolary same przykrości... Kupiłem za drogie pieniądze, za oszczędności całego życia w Warnie. I nagle mówią mi tu, w Polsce: przecież to fałszywe, jak mogłeś nie zauważyć?

— Aha — podjęła domyślnie prokurator — więc pan zorientował się, że kupił fałszywe dolary. I dlatego je pan wywoził w skarpetkach?

— Tak, pani prokurator. Sześć razy jeździłem do Warny odszukać tego złodzieja, tego kanciarza. Chciałem mu wcisnąć do gardła fałszywe dolce, niechby się nimi udławił. Ale nigdy go nie znalazłem, może tym razem dopisałoby mi szczęście?

— Więc pan oświadcza, że sześciokrotnie wyjeżdżał w ubiegłym roku do Bułgarii jedynie w tym celu, aby odnaleźć człowieka, który panu sprzedał fałszywe dolary?

— Tak! — głos podejrzanego zabrzmiał mocno. — To było moje marzenie, cel mojego życia.

Dopiero teraz tusz długopisu prokurator Alicji Wiłkojć-Baranowskiej zaczął błyskawicznie pokrywać kartki protokołu.

Noc pani Luli

Wiosna 1978 roku była już w pełnym rozkwicie, gdy do Warny przyjechała jasnowłosa pani Lula. Przyjechała samotnie, znudzona życiem warszawskiego high-lifu, zawiedziona w ostatniej wielkiej miłości, przepracowana i obładowana ciężko zapracowaną forsą. Pani Lula pracowała w filmie, a film, mimo wszystkich uciążliwych zajęć przypadających w udziale jego twórcom, przynosi znośne dochody.

Pani Lula przeżywała rozkwit, jak bułgarska wiosna, mimo że wiek określany „wiosennym" pozostawiła daleko za sobą. Jako niewiasta po czterdziestce potrafiła cisnąć do stóp niejednego jeszcze mężczyznę, ale obecny etap rozwoju pani Luli należałoby nazwać raczej rozkwitem wrzosu, nie sasanki. Kiedy podczas wczesnej dancingowej pory zeszła w wieczorowej toalecie do sali tańca, spojrzenia mężczyzn uniosły się znad kielichów wypełnionych winem i koniakiem a niejedno zatrzymało się na dłużej, obmacując pełne kształty warszawskiej damy.

Pani Lula jednak nie zwracała uwagi na starszych, chociaż nieźle trzymających się panów różnej narodowości. Uwagę jej przykuł śniady młodzieniec, biwakujący przy okrągłym stoliku w towarzystwie kilku dwudziestolatków i pań w tym samym wieku. Wyczulone ucho pracownicy filmu pochwyciło dochodzące od stolika dźwięki ojczystej mowy — a co najważniejsze — wzrok jej napotkał oczy śniadego młodziana. Nie odwróciła spojrzenia jak spłoszona łania, można powiedzieć, że przeciwnie: usiłowała nadać swemu spojrzeniu moc hipnotyczną, przyciągającą. Ze skutkiem niemal natychmiastowym młodzian poszeptał z towarzystem i poderwawszy się od stolika, podążył wprost ku pani Luli.

— Wulewu danse awek mua? — padło z chłopięcych ust.

— Och, może pan mówić swobodnie po polsku — odpowiedziała pani Lula, nadając głosowi barwę uwodzicielską, wyćwiczoną na podstawie obserwacji gry aktorek-amantek.

Ruszyli w tany na parkiet, młodzieniec przycisnął mocno partnerkę, a ona zapytała szeptem: „Jak ci na imię"?

— Wojtek — odszepnął chłopak — możesz mi także mówić Ali.

Tańczyli krótko, a potem wymknęli się bocznymi, krętymi schodami na piętra hotelu, gdzie pani Lula miała swój pokój. Wojciech Gała, znany wśród tutejszych kolegów jako „Arab", syn naftowego szejka słyszał jeszcze kończącego piosenkę solistę z restauracji; natomiast pani Lula słyszała bardzo niewiele. Zapaliła światło w pokoju i Wojciech zdążył zauważyć piękny podręczny magnetofon Philipsa, aparat fotograficzny exacta varex a także wypchaną torbę podróżną. Nad ranem, kiedy wymykał się od śpiącej twardo pani Luli, wyglądał jak reporter obwieszony magnetofonem, exactą oraz zaciskający w dłoni torbę ze świńskiej skóry. Spieszył się, wybierał się z Waldkiem Budką, swoim sofijskim wspólnikiem do Polski. Jechali najpierw do Zbyszka Trojniaka, który czekał na nich od wczoraj w Łodzi, gnała ich żądza zemsty.

Obudziwszy się swoim zwyczajem około południa, pani Lula w mig pojęła, jak niegodnie postąpił wybranek jej serca. Nie zamierzała telefonować na milicję, chociaż biało lakierowany aparat telefoniczny stał w zasięgu ręki na nocnym stoliku. „Cóż im powiem — myślała zapewne — że okradł mnie dwudziestolatek, którego zaprosiłam na noc?".

Kierowca za 100 tysięcy

Wiceprokurator Alicja Wiłkojć-Baranowska uchwyciła wątłą nić śledztwa ze stanowczością, jakiej mogło jej pozazdrościć co najmniej stu prokuratorów z rejonówek w całej Polsce. Postanowiła dotrzeć do źródła pochodzenia fałszywych dolarów, zalewających kraj od kilku lat, ze szczególnym nasileniem w ostatnim okresie. Nie zadowoliła się mętnymi wyjaśnieniami Lucjana Grajdema, osadzonego profilaktycznie w areszcie śledczym, żądała sprawozdań z Wrocławia, Łodzi, Bydgoszczy — zewsząd, gdzie pojawiły się falsyfikaty serii „andorskiej". Reanimowała stare sprawy, żądała szczegółów. Zwróciła się do Wojewódzkich Komend MO, prowadziła obszerną korespondencję.

Z dociekań prokurator Wiłkojć wynikło, że od 1974 do 25 kwietnia 1978 roku w różnych miastach polskich ujawniono 180 przypadków puszczenia w obieg 100-dolarowych nominałów banku USA z serii „andorskiej". Nasilenie tych wypadków przypadało na rok 1977 oraz 1978. Informacja ta w powiązaniu, ze wstępnymi ustaleniami wszczętego przeciw Grajdemowi śledztwa dawała podstawę do przyjęcia, że Grajdem miał powiązania z osobami zajmującymi się kolportażem sfałszowanych pieniędzy.

W planie czynności śledczych, sporządzonych przez inspektora Milicji Obywatelskiej, zajmującego się sprawą Grajdema zanotowano m. in.

...wynika, że L. Grajdem przebywając często w Bułgarii, kontaktował się z grupą Polaków przebywających w Bułgarii od dłuższego czasu i zajmujących się handlem walutą obcą. Podejrzany podaje tylko imiona tych osób, tj. „Wojtek", „Waldek", „Zbyszek" oraz imię Krystyny z Bydgoszczy,

wyjaśniając dodatkowo, że jej adres i nazwisko ma zapisane w notesiku, który znajduje się w depozycie. Ponadto zmienia swoje wyjaśnienia w kwestii posiadania 200 dolarów USA i stwierdza, że pożyczył całą gotówkę swoją w ilości 300 lewa Zbyszkowi, na jeden dzień, ale ten oszukał go i wyjechał do Polski...

Następnie oficer proponował szeroko zakrojone czynności śledcze, podając terminy ich wykonania. Na zakończenie planu napisał:

...jeżeli w. w. czynności nie doprowadzą do ujawnienia osoby „Dzidka" oraz nie dostarczą dostatecznych dowodów przestępczej działalności Grajdema i innych, należy w terminie do 2. VI. 1978 r. sporządzić nową analizę materiału i plan czynności oparty na materiałach sprawy.

W tym samym czasie, kiedy oficer MO sporządził w pocie czoła plan śledztwa, „Dzidek" czyli Zdzisław Koniczny zapraszał w charakterze osobistego... kierowcy niejakiego S., młodego posiadacza samochodu osobowego marki citroen, kontraktując go na wyjazd do Bułgarii z obietnicą pensji 100.000 złotych miesięcznie.

W tym samym mniej więcej czasie Waldek, Wojtek i Zbyszek dojeżdżali pociągiem do Łodzi, aby wywrzeć zemstę na Ewie, wiarołomnej wspólniczce rozlicznych wałków w Bułgarii, obecnie przebywającej na wakacjach w rodzinnym mieście. Określenie „wakacje" pasuje tu najlepiej, gdyż panna Ewa „pracowała" przez cały rok w Bułgarii.

Wiarołomność dziewczyny nie polegała bynajmniej na cielesnej czy uczuciowej zdradzie któregoś z handlowców-oszustów-złodziei. W tej dziedzinie młodzi ludzie wykazywali wiele wyrozumiałości. Wiarołomność panny Ewy polegała na sprzeniewierzeniu pieniędzy, uzyskanych ze wspólnie zrobio-

nego wałka w Bułgarii. Takich rzeczy nie puszcza się płazem w doborowym towarzystwie „turystów" i „studentów".

Poranny napad

W Andora la Vella recepcjonista podgórskiego hoteliku dawno już zapomniał o incydencie z płacącą fałszywymi dolarami Amerykanką, gwardzista-policjant poszedł na zasłużoną emeryturę i pojechał uprawiać winorośl w Katalonii. Urzędnik z ratusza, lubujący się w kolorowych koszulach, zaczął nosić marynarkę i krawat ponieważ awansował, a pani Leespack coraz rzadziej opowiadała klientom drogerii o swojej mrożącej krew w żyłach przygodzie z fałszerzami dolarów (dodając zresztą przy okazji jakiś nowy, drobny szczegółik). Lucjan Grajdem, bawiący przejazdem w Budapeszcie sprzedawał właśnie polskiemu malarzowi studolarowy banknot w przydworcowym bistro, gdzie o wczesnej porze podawano kawę w mikroskopijnych filiżaneczkach, Marek Piast kończył krótką podróż do NRD, gdzie udało mu się sprzedać skradziony przez Wojtka Gałę magnetofon pani Luli (był to zastaw za pożyczone 50 lewa), a panna Krysia z Bydgoszczy szła spać na plażę po pracowitej nocy na dancingu w Złotych Piaskach. Natomiast panna Ewa w rodzimej Łodzi śniła o brylantowej kolii, która zamieszczona była w zagranicznym żurnalu mody jako dodatek do wieczorowej skromnej sukni, lansowanej przez Diora

Krystyna Farska już wstała i sposobiła się do objęcia o szóstej rano dyżuru w recepcji hotelu, Helena Grajdem pogłaskała głowę śpiącego obok synka, a pewien redaktor w Warszawie obudził się na

chwilę i ze zgrozą wspomniawszy przekleństwo różanego olejku, natychmiast zapadł w sen. Dochodziła godzina piąta nad ranem czasu środkowo-europejskiego.

•

Niemal punktualnie o godzinie 5.00 do mieszkania Ewy ktoś zastukał najpierw nieśmiało a potem natarczywie. Panienka wygrzebała się niechętnie z łóżka i otworzyła drzwi, przez które wtargnęli do wnętrza przyjaciele z Bugarii. Waldek Budka (z zawodu ciastkarz-cukiernik), Zbyszek Trojniak (betoniarz-zbrojarz) oraz „Ali Muhamad", syn szejka czyli Wojtek Gała.

— To zdziro — powiedział wcale nie słodkim głosem ciastkarz-cukiernik — to ty na nas robisz wałki? Nas chcesz kiwać, najlepszych wspólników? Gdzie forsa?

— Nie mam żadnej forsy — odpowiedziała przestraszona panienka i zapłakała. Została skarcona przez betoniarza-zbrojarza uderzeniem w oko, które podbiegło krwią.

— Nie masz forsy, to oddaj pierścionki — zażądał Waldek Zbyszek już otwierał z hukiem szuflady szafy i komody, natomiast Wojtek plądrował łóżko, sięgając pod materac. Wszyscy trzej młodzieńcy byli mocno podpici, co dodawało im agresywności i Zbyszek Trojniak, aby uspokoić Ewę na dobre, wyciągnął z kieszeni nóż. Podsunął ten nóż z otwartym ostrzem pod brodę panienki.

— Może teraz powiesz, gdzie masz pierścionki?

Powiedziała. Nie stawiała oporu i pochlipywała leżąc na wersalce. Nie protestowała, kiedy panowie zabierali nowoczesne radio ze stereofonicznymi głośnikami, pierścionki, telewizor,

—

— Nie próbuj powiadamiać milicji — zagroził jeszcze Trojniak — bo cię zasypiemy do spodu, wszystkie twoje bułgarskie numery. I za to bekniesz piątaka.

Panna Ewa rzeczywiście nie zawiadomiła organów ścigania o dokonanym na jej mieszkaniu napadzie. Przypomniała sobie wałki wykręcone rodakom, przypomniała sobie tysiące odsprzedanych „okazyjnie" fałszywych dolarów. Otarłwszy łzy, panna Ewa postanowiła odkuć się. Jedynym sposobem był ponowny wyjazd do Bułgarii, na stare śmiecie. Gdyby powiadomiła polską milicję o zajściu sprzed paru godzin, nie ulegało wątpliwości, że wyjazd stałby się marzeniem ściętej głowy. Tymczasem można było jechać do Sofii chociażby jutro, pieniędzy na szczęście jeszcze miała trochę u znajomych, a także w depozycie u rodziny, można było także sprzedać nieco fałszywych dolarów.

Kierowca żąda kajdanek

Citroen nie był tak piękną maszyną, jak pamiętna cortina Zorana, nie mniej jednak — pocieszał się Dzidek Koniczny wjeżdżając do Starej Zagory — nawet Zoran nie miał własnego kierowcy.

— Do hotelu? — zapytał Józef Taszko zwalniając tempo jazdy.

— Nie, podrzuć mnie do Hani a potem sam jedź do hotelu. Nie wrócę dzisiaj, zobaczymy się jutro przy śniadaniu. Dzidek podczas tygodniowego pobytu w Polsce oczkiwał chwili, gdy znowu bułgarska studentka, Hania, padnie w jego ramiona. Krysi Farskiej zostawił na pociechę kilkaset dolarów, wprawdzie fałszywych, ale zawsze. Bułgarka nie żądała pieniędzy, nie żądała niczego, nie wiedziała na-

wet, co robi jej ukochany Polak-student w czasie wolnym od spraw łóżkowych.

Koniczny nie przypominał teraz w niczym kaowca z „Najady", zniknął jego uprzedzająco grzeczny sposób bycia, resztki młodzieńczej nieśmiałości wyparło poczucie posiadania pieniędzy, które dawały nad kobietami moc większą, niż prawienie komplementów. Podziwiał sam siebie: któryż z górników kopalni „P" rozpoznałby w eleganckim młodzieńcu rozpostartym na przednim fotelu citroena kolegę z szychty? Doszedł do wszystkiego sprytem, umiejętością współżycia z ludźmi, roztaczania przed nimi kolorowych wizji. Nie czuł się gorzej, niż reżyser filmu, gdyż tworzył rzeczywistość na miarę mirażu. Polacy w Bułgarii pragnęli kupować tanie dolary i otrzymywali je po przystępnych cenach. Któż w pośpiechu będzie liczył dolary pod blatem kawiarnianego stolika, w hotelowej kabinie telefonicznej?

— Teraz w prawo? — zapytał Taszko przy rondzie ozdobionym wielkim portretem.

— Pamiętasz — pochwalił Dzidek.

Taszko... Ten był inny, do niczego w życiu nie dojdzie. Brutal i cham, żadnej inwencji. Dać mu do ręki młotek, będzie mordował ludzi, zdzierał im pierścionki z palców. Przy wyjeździe z Polski zapytał, czy Dzidek może skombinować mu kajdanki oraz pistolet na gaz. Konicznego zatkało. Zapytał co Taszko chce robić z takim pistoletem. — Jak się faceta uśpi gazem — wytłumaczył kierowca osobisty Zdzisława Konicznego — to potem go się zwiąże, żeby nie brykał. „Bandzior wykombinował sobie najprostszą drogę do długoterminowego wyroku." — Na razie jeździsz ze mną, płacę ci sto tysięcy i nic nie rób na własną rękę — ostrzegł Dzidek — ja nie idę na głupie numery. — Dobrze, ale jak wróci-

my do Polski, skombinujesz mi kajdanki. Inaczej nic z umowy. —Skombinuję — powiedział szczerze Koniczny i miał zamiar dotrzymać obietnicy. I nawet przez moment zastanawiał się, czy droga wybrana przez Taszkę nie była jednak kusząca... Tak po prostu, bez żadnych kunsztownych forteli po męsku. — Skombinuję ci taki pistolet, możesz być spokojny — powtórzył a zwykł dotrzymywać słowa kumplom.

Na tropie andorskiej serii

Notes Lucjana Grajdema, znajdujący się w depozycie MO został przejrzany skrupulatnie i rzeczywiście, odnaleziono w nim adres Krystyny Pietrzak zamieszkałej w Bygdgoszczy. W chwili, gdy piękna panna przybyła na krótki wypoczynek do Polski, została zatrzymana przez MO do dyspozycji Prokuratury Rejonowej Warszawa-Ochota. Ozdoba bułgarskich kurortów, początkowo niechętna do rozmów, szybko zrozumiała, że szansa jej nie leży w zaciętym milczeniu.

— Ja powiem, pani prokurator — zaczęła panienka — powiem wszystko, co mi jest wiadomo. Ale tam, w Bułgarii, było nas z pięćdziesiąt osób i nie wszystkich znam z nazwisk prawie nikogo. Więc co do fałszywych pieniędzy: ja bym ich w ogóle nie odróżniła od prawdziwych, dopiero jeden pan powiedział mi, na czym polega różnica.

— Ja już wiem, na czym polega różnica — przerwała prokurator Alicja Wiłkojć — proszę mi powiedzieć, jak było z okradaniem polskich turystów.

— Scisły związek z tą sprawą ma student AWF, „Marek", ja jego nazwiska nie znam. Najwięcej

przerobili Polaków na wałek Dzidek i ten Marek. Tyle to ja wiem.

— Pani wie jeszcze sporo różnych rzeczy, proszę się nie krępować, proszę mówić — zachęcała prokurator — to pani może wyjść jedynie na korzyść.

— Ja wiem — przyznała skromnie technik-agronom z Bydgoszczy — dlatego mówię. Wiem na przykład, że Dzidek posługiwał się także studencką legitymacją na nazwisko „Binowski". Pracował kiedyś podczas wakacji w pensjonacie „Najada".

— A na tym zdjęciu pani kogoś poznaje? — prokurator podsunęła przesłuchiwanej fotografię grupy roześmianych młodych osób rozłożonych w malowniczych pozach na plaży:

Panienka bez trudu ale z pewnym zdziwieniem rozpoznała studenta AWF.

— To właśnie Marek! — zawołała radośnie — innych nie znam, ale jego rozpoznaję!

— Mogę pani powiedzieć jego nazwisko — rzuciła od niechcenia prokurator Wiłkojć — Piast. Marek Piast.

— A skąd pani ma to zdjęcie? — zapytała Krystyna, jakby znajdowała się z koleżanką na plotkach w sofijskiej kawiarni, a nie w pokoju 114 Prokuratury Rejonowej na Ochocie.

Alicja Wiłkojć-Baranowska taktownie pominęła kwestię milczeniem. Należałoby — dla oświecenia panienki — opowiedzieć o skomplikowanych i pracochłonnych czynnościach prowadzonych od dwóch miesięcy przez Komendę Stołeczną MO oraz inne jednostki milicji w Warszawie i kraju. Dla jeszcze jaśniejszego obrazu należałoby wyjaśnić, że poprzez Biuro Dochodzeniowo-Śledcze KG MO Prokuratura Ochota poczyniła odpowiednie kroki, dla ustalenia w Bułgarii rozlicznych rozgałęzień ogromnej afery. Że o Zoranie, Enciu i pani Neli było polskiej służbie

śledczej wiadomo nader dużo. Że następna partia fałszywych dolarów dojechać miała do Sofii ciężarówką „TIR", do hotelu „Slavia". Ciężarówkę prowadził pewien Grek a suma fałszywych dolarów wynosiła tym razem około 10 tysięcy. Mało tego — polska milicja znała już numer domowego telefonu niejakiego Bebo, zamieszkującego stolicę Bułgarii. Bebo miał teraz rozprowadzać falsyfikaty serii „andorskiej", nie przypuszczając nawet, że jego rysopis znajduje się w aktach prokuratury na Ochocie: „...wiek lat około 30, łysiejący, włosy długie, prawdopodobnie nigdzie nie pracujący, można go spotkać koło hotelu „Balkan" oraz koło CUM-u".

Wiceprokurator nie powiedziała pannie Krysi o tych ustaleniach, gdyż w pokoju 114 z reguły gospodarz domagał się wyjaśnień od swych gości a nie na odwrót.

Złodziejski fart

Zdzisław Koniczny powrócił do Polski na kilkudniową wycieczkę wynajętym citroenem i postanowił dla odmiany spróbować smaku nocnego życia stolicy, jakże odmiennego od uciech słonecznych Bałkanów. Dla efektu udawał Jugosłowianina, zlecając swemu kierowcy — Józefowi Tyszko — dodatkową funkcję „tłumacza". Tłumaczyć zresztą nie trzeba było zbyt wiele, zwłaszcza w restauracji „Kaukaska", gdzie nowo kreowany Jugosłowianin i jego kierowca-tłumacz zaprosili do towarzystwa dwie panie utrzymujące się z dotrzymywania towarzystwa mężczyznom. Jedna z pań nosiła przydomek „Japonka", chociaż wcale nie była skośnooka ani tym bardziej — nie miała nic z japońskiego filigranu, przypisywanego gejszom.

— Masz 400 zielonych — powiedział tłumacz do „Japonki" — sprzedaj je zaraz po 120 złotych i weź sobie pięć tysięcy. Potem pojedziemy na Twoją metę.

— Pięć tysięcy za mało — targowała się „Japonka". — Sześć.

— Sześć — przetłumaczył Taszko Dzidkowi.

— Że... sześć... zgodził się Dzidek bez trudności. Miał pełno dolarów, fałszywych i prawdziwych, miał marki, ruble, funty, franki szwajcarskie. A na dodatek miał wymarzone przez swego szofera kajdanki, czuł się więc panem sytuacji. Być moze nigdy w życiu jeszcze nie znalazł się na takim szczycie, jak tej nocy, gdy w restauracji „Kaukaska" pomknęli w towarzystwie dziewcząt do słynnej, podwarszawskiej miejscowości wypoczynkowej. Dzidek nie miał zwyczaju obcować z prostytutkami zawodowymi, gdyż wystarczyło mu zarówno w Bułgarii jak i w Polsce towarzystwo kobiet traktujących prostytucję li tylko jako zajęcie uboczne albo wręcz pogardzające tym sposobem zarobkowania. Czekała Bułgarka Hania, czekała też wierna Polka, Krysia Farska, zaczynająca właśnie nocną zmianę w hotelowej recepcji blisko kopalni „P". Dzidkowi pewna odmiana miała przynieść odprężenie, natomiast kierowca citroena, Taszko, usposobienie miał mniej romansowe od szefa. Następnego ranka, pożegnawszy dziewczynki w Warszawie, Konieczny z szoferem ruszyli w daleką drogę do Sofii. Taszko miał już na dnie walizki błyszczące błękitnym oksydem kajdanki a w bagażniku miotacz gazu obezwładniającego. Prowadząc szybko ale ostrożnie citroena planował pierwszy skok w Bułgarii, skok mający przynieść niezależność. Obiecana stutysięczna pensja przestała imponować Józefowi, który widział jak szef lekką ręką szasta dolarami. Taszce snuł się na-

wet po głowie plan wypróbowania miotacza na szefie, jednakże był to plan z gatunku długofalowych, chwilowo energiczny Dzidek mógł się przydać jako człowiek znający pierwszorzędnie bułgarski jarmark turystyczny. I miał za kilka dni wypłacić pierwszą pensję, w co Taszko nie wątpił. Poznani dotychczas koledzy i wspólnicy szefa bywali nieuczciwi — lecz Koniczny pod tym względem nie budził zastrzeżeń.

— No, szefie, — powiedział Taszko — dojeżdżamy do Słubic. Papiery w porządku?

Dzidek z pogardą popatrzył na kierowcę. Papiery miał zawsze w porządku i bez cienia niepokoju przekraczał punkty graniczne PRL a także licznych państw bloku socjalistycznego. W niedalekiej przyszłości trzeba będzie sposobem mniej legalnym przekroczyć granicę któregoś z krajów kapitalistycznych, ale mając pieniądze nie należało sobie z tego robić kłopotu. Dzidek wierzył w swój fart, czuł jednak przez skórę, że okres prosperity w Bułgarii dobiega końca. Za dużo ludzi spaliło się przy robocie, siedział już Grajdem i siedziała Kryśka. To i owo musieli zasypać, chociaż nie wiedzieli za dużo. Powrót do Polski (po szykującym się wielkim występie z 10 tysiącami dolarów przywiezionymi przez Greka) będzie nieostrożnością. Cóż, Dzidek nie przejmował się: oby tylko przejść z forsą do jakiej Turcji, Grecji albo choćby Austrii a potem dalej, prysnąć nawet z Europy.

W Słubicach, na punkcie kontroli granicznej nikt z funkcjonariuszy nie zajmował się szczególnie ani citroenem ani jego załogą. Taszko drżał nieco o kajdanki, ale dobroduszny celnik nawet nie kazał otwierać wielkiej walizy z naklejkami hoteli.

— Szerokiej drogi — powiedział wopista przybijając pieczątki w papierach obu podróżujących panów.

W niespełna trzy godziny później ten sam wopista doznał lekkiego wstrząsu, oglądając zdjęcie ozdabiające otrzymany właśnie List Gończy Prokuratury Warszawa-Ochota.

— Rany Julek — wyznał zaalarmowanemu szefowi — dopiero co wypuściłem faceta z rąk. To był on, Zdzisław Koniczny.

— Albo „Binowski" — westchnął dowódca placówki, odczytując fragment listu gończego. — Jechał pewnie do Sofii? No cóż, fart. Dobry złodziej zawsze musi mieć nieco fartu, inaczej nie byłby dobrym złodziejem.

Filozoficzna uwaga zwierzchnika nie pocieszyła funkcjonariusza służby granicznej, odprawiającego citroena. Z pewnością nie pocieszyłaby również samego Zdzisława Konicznego, który spokojnie zasnął na przednim siedzeniu samochodu zdążającego do Sofii.

•

Tego samego dnia przed wieczorem na lotnisku pod Sofią wylądował samolot z Warszawy, przywożąc wśród grona roześmianych wycieczkowiczów kilku poważnych panów.

Panowie wsiedli w oczekujący przed dworcem lotniczym samochód bułgarskiej milicji, poczym pojechali do Komendy. Oficer łącznikowy Bułgarów poczęstował gości kawą.

— Zdejmiemy go rano — zadecydował polski major MO — gdzie on się zwykle zatrzymuje?

— Tym razem w hotelu „Republica" — objaśnił Bułgar. — Ma zarezerwowany pokój na pierwszym piętrze. Bierzecie go sami?

— Lepiej, żebyście dali jednego mundurowego —

poprosił major. — Nie musi być na widoku, ale niech się przespaceruje do hotelu. To jest wasz teren...

Dygresje o kajdankach

Około godziny dziesiątej rano Józef Taszko podjechał umytym citroenem na stację benzynową. Zatankował paliwo i powrócił przed hotel „Republica", aby jak przystało na wynajętego kierowcę, oczekiwać na pryncypała. Czekał ponad kwadrans i zaczynał się niecierpliwić, więc wyszedł z samochodu, aby pospacerować między kioskami z pamiątkami a budką dozorcy, pilnującego parkingu.

O wpół do jedenastej nareszcie ukazał się Dzidek, ale nie sam. Obok pracodawcy płacącego 100 tysięczną pensję, kroczyli dwaj ubrani po cywilnemu panowie w niczym nie przypominający turystów. Za nimi, w odległości kilku kroków postępował obojętnie wysoki milicjant w mundurze koloru khaki. Józef zdrętwiał, tłumiąc odruch pchający go do panicznej ucieczki: ręce szefa znajdowały się w nienaturalnej pozycji dziwnie wysunięte do przodu. Rękawy flanelowej koszuli nie zasłaniały przegubów a na tych przegubach lśniły błękitnym oksydem takie same kajdanki, jakie Taszko miał ukryte na dnie podróżnej walizy.

— Na lotnisko — usłyszał jeszcze zmartwiały z wrażenia Taszko. Słowa te padły po polsku z ust cywila, ustępującego przejścia Konicznemu w drzwiczkach dużego fiata, parkującego tuż obok citroena. Dzidek zniknął we wnętrzu wozu, ostatni wsiadł Bułgar w mundurze. Aresztowany odlatywał pierwszym samolotem, wprost na spotkanie z prokurator Alicją Wiłkojć.

I to było wszystko, co zobaczył Józef Taszko. Nie

niepokojony przez nikogo, poszedł do swojego pokoju, zabrał walizki, wymeldował się natychmiast w recepcji i ruszył w drogę do Warny. Tam postanowił rozpocząć swoją osobistą działalność. Wobec niechybnego przepadku miesięcznej pensji, czasu pozostawało niewiele. Taszko nie miał daru kojarzenia symboli: nie przyszło mu nawet do głowy, że kajdanki na rękach Konicznego bardzo przypominały te, które w planach działalności Taszki odegrać miały — i odegrały — ważną rolę.

Swój pierwszy skok bułgarski: napad bandycki przy użyciu miotacza gazu oraz kajdanek wykonał pół roku przed dniem, w którym wiceprokurator Alicja Wiłkojć wniosła do sądu Wojewódzkiego w Warszawie akt oskarżenia przeciw 14-osobowej grupie przestępczej ze Zdzisławem Konicznym na czele. Akt oskarżenia nosił datę 15 lutego 1979 roku.

Akt oskarżenia przeciw Józefowi Taszko i wspólnikom jego bandyckich napadów w Bułgarii (jednakże Taszko zrezygnował z „solówek") wpłynął do sądu w terminie późniejszym, gdyż praca organów ścigania nie zawsze może odbywać się błyskawicznie, zwłaszcza, gdy trzeba operować na terenie obcych państw. Warto wspomnieć, że panowie Taszko i Koniczny spotykali się jeszcze kilkakrotnie w gmachu polskiego sądu, ale nie w charakterze współoskarżonych, lecz jako świadkowie, opowiadający sądowi przebieg swej znajomości.

Należy też domniemywać, że panowie ci spotkają się jeszcze w sądzie przy okazji jakiegoś kolejnego procesu, udzielając sądom informacji o innych znajomych turystach polskich, „zwiedzających" Bułgarię... Sprawa taka, jak kolportaż fałszywych dolarów zawsze znajdzie niespodziewane i rozległe reperkusje, ciągnące się niejednokrotnie latami i ciągle ukazujące nowe oblicza afery.

GWIAZDA EKSPRESU REPORTERÓW

CASIMIR KOSZARSKI — Man of the Year 1969 (Człowiek Roku 1969) wybrany przez amerykańskie Stowarzyszenie Kupców i Przemysłowców im. Pułaskiego w Nowym Jorku. Wypisuję (w wolnym przekładzie z języka angielskiego) kilka zdań z obszernej ulotki wydanej z tej okazji w USA.

„Z dumą przedstawiamy jako Człowieka Roku osobę, której pełna poświęcenia i bezinteresowności praca na rzecz Polski i Polonii trwa już 35 lat. Po studiach na Uniwersytecie Columbia pan Koszarski zajął się handlem zagranicznym i zorganizował w roku 1932 wystawę polskich produktów importowanych przez spółkę Ampol. Wkrótce zajął się importem polskich wódek, a jego praca w tej dziedzinie przez wiele lat przyniosła polskim wyrobom ogromną popularność w Stanach Zjednoczonych. Dzięki temu uznano go za najlepszego polskiego Amerykanina — specjalistę w tej dziedzinie. W następnych latach jego zainteresowania handlowe rozciągnęły się na inne działy handlu — należał do spółek the North-South America Coffe Corporation, Polar Records, K and K Trucking and Polmark Export—Import. Po drugiej wojnie światowej wpadł na pomysł wysyłania paczek do Polski — jego polsko-amerykańska spółka handlowa była największą tego typu organizacją w USA. Przysyłanie paczek do

Polski przyczyniło się znacznie do pomocy w odbudowie kraju w ciągu pierwszych sześciu lat po wojnie. Dzisiaj pan Koszarski także importuje wiele towarów z Polski i zajmuje się dystrybucją najlepszych polskich filmów w kinach okręgu nowojorskiego. Poza tymi zainteresowaniami handlowymi znajdują się lata niezmordowanych wysiłków na rzecz Polski i Polaków. Nasz Człowiek Roku był prezesem takich licznych organizacji jak: Centrali Polskich Towarzystw w Nowym Jorku — kierował nią w dniach wybuchu II wojny światowej i przekształcił ją w silną wpływową siłę działającą na rzecz Polski w latach wojny. Przez te lata pracy jego jedyną nagrodą była świadomość, że pomaga Polsce i narodowi polskiemu w godzinie największej potrzeby."

Z obszernej ulotki nie sposób wynotować wszystkich tytułów, jakie piastował w Stanach Zjednoczonych pan Koszarski, ale przecież mogę odłożyć ulotkę — przecież mam go przed sobą, na wygodnym fotelu w jego warszawskim mieszkaniu i mogę zadawać każdą ilość pytań.

— Jest pan Amerykaninem, urodził się pan w Stanach Zjednoczonych, do Polski wrócił pan uczyć się — ale tylko do matury, potem już całe życie przebywał pan w Stanach i nagle decyzja osiedlenia się w Polsce. Co pana do tego skłoniło?

— W związku z chorobą serca lekarz powiedział mi: Nowy Jork jest dla ciebie za duszny, musisz przenieść się albo na Florydę, albo do Arizony. Spomiędzy tych dwu wybrałbym najchętniej to trzecie, Polskę — powiedziałem. Lekarz tylko zapytał: czy tam jest spokojnie? Odpowiedziałem, że mniej więcej tak jak w Arizonie... no i stało się. Pracowałem dla Polski przez czterdzieści osiem lat, stale myśla-

mi związany byłem z Polską, więc ta decyzja przyszła łatwo.

— Wiem, że pochodzi pan z sandomierskiego, maturę pan składał w Sandomierzu, nigdy pan nie był związany z Warszawą, a właśnie tutaj kupił pan mieszkanie...

— Tu przecież koncentruje się działalność polonijna, tu rozstrzyga się o kontaktach handlowych, a ja jeszcze coś mogę pomóc ludziom.

— Sandomierz jest bez porównania spokojniejszy od Warszawy.

— Ale też Warszawa jest bez porównania spokojniejsza od Nowego Jorku. W Sandomierzu zresztą mam dom, pozostawiony przez ojca — niestety, z lokatorami, nie ma tam dla mnie mieszkania. Początkowo chcieliśmy osiedlić się w Gdyni, gdzie matka mojej żony zapisała jej w testamencie dużą i piękną willę — niestety także z lokatorami. Mieszkają tam przeważnie kapitanowie, płacą niecałe trzysta złotych miesięcznie czynszu. Zbieram z tej willi dwanaście tysięcy rocznie, a siedemdziesiąt wydaję na koszta remontów i eksploatacji.

— Tak, tego nie można nazwać biznesem.

— Mój ojciec też miał pecha, cztery razy musiał w Polsce kupować dom za dolary.

— Właśnie, jak to było z pańskim ojcem, kiedy wyemigrował?

— W tysiąc dziewięćset piątym. Podczas rozruchów socjalistycznych dostał nahajką od żandarma, musiał się ukrywać, bo takich delikwentów brano do wojska na dwadzieścia pięć lat. Ojciec długo nie czekając uciekł przez Wisłę do Galicji i stamtąd do Stanów Zjednoczonych. Po jakimś czasie ściągnął matkę. Pracował bardzo ciężko, w kopalniach w Pensylwanii. Potem, gdy wrócił do swojego zawodu — był murarzem — zaczął budować stacje

gazolinowe. Wtedy dobrze już zarabiał i mógł pomyśleć o domu w Polsce. Matka po moim urodzeniu chciała wracać, więc dał jej dziewięć tysięcy dolarów na kupno domu i tak znaleźliśmy się w sandomierskiem. Dziewięć tysięcy dolarów to wtedy były pieniądze. Matka wyszukała wielką kamienicę przy samej katedrze w Sandomierzu, już szła do kupna i wtedy dowiedziała się w notariacie, że kobiety nie mają prawa nabywania posiadłości. Poradzono jej, aby pieniądze złożyła na hipotece. Kiedy ojciec wrócił ze Stanów i przeliczyli mu te dolary na ruble, wystarczyło mu na buty i kurę. Musiał wracać do Ameryki zapracować na drugi dom.

— A pan w którym roku wrócił do Stanów?

— W trzydziestym drugim. Przyjechałem akurat na depresję gospodarczą. Nie było mowy, abym uczył się nie pracując. Pierwszą pracę dostałem przez pana Mierzwę z Fundacji Kościuszkowskiej — uczyłem języka polskiego. Potem zacząłem przez firmę Ampol rozprowadzać wyroby ludowe, a także polskie szynki. Najpierw sprzedawaliśmy je w polskich Domach Narodowych, przy okazji różnych wystaw, potem zaczęliśmy wychodzić z nimi do Amerykanów.

— A potem związał się pan na długie lata z wyrobami monopolu spirytusowego?

— Tu muszę sprostować aż dwie rzeczy: nigdy nie zajmowałem się jedną dziedziną, zawsze miałem kilka firm, kilka spółek i po drugie — nigdy też nie współpracowałem tylko z państwowym monopolem. Kiedy dostałem przedstawicielstwo handlu polskimi wódkami w Ameryce, oprócz wódek Monopolu, miałem słynne likiery Kantorowicza, miody Makowskiego z Kruszwicy — Piast i Staropolski, dalej wiśniaki i jarzębiaki hrabiego Tarnowskiego z Dzi-

kowa i z Rektyfikacji Warszawskiej — Żubrówkę, Żytnią, Starkę, Śliwowicę, Krupnik i Kapucyński.

— A Baczewskiego pan nie miał? Baczewskiego opiewanego w poezji i kabaretach, ongiś tak popularnego jak dzisiaj Blikle w cukiernictwie.

— A jakże, próbowałem z Baczewskim. Przyjechał nawet do Stanów, z zamówionymi przeze mnie trzema tysiącami skrzynek, zjedliśmy obiad i omówiliśmy kontrakt. Ale okazało się szybko, że znalazł inną firmę, która obiecała mu większy zysk. Skończyło się na obiecankach, stracił trzydzieści pięć tysięcy dolarów i wrócił do mnie. Teraz to ja panu dziękuję — powiedziałem — tak się nie robi interesów. Potem Baczewski już nigdy nie wszedł na rynek amerykański, dostał w skórę.

— Polska wódka ma dobre miejsce na amerykańskim rynku.

— Miała pierwsze.

— A nie ma?

— Nie. Niestety. Zdystansowały ją wódki amerykańskie, angielskie, radzieckie i fińskie.

— Przykra sprawa, taki mocny towar.

— Tak, ja też myślałem, że dojdę do stu tysięcy dolarów zarobku rocznie, ale nie doszedłem.

— Teraz, gdy nie ma pan już handlowych tajemnic, może mi pan powie, dlaczego utraciliśmy prymat w tym zyskownym towarze?

— Jeśli się ma samochód Polonez, nie można nazywać tak wódki. To się kłóci: pić Poloneza i jeździć Polonezem.

— A pan jak nazywał wódki?

— Ja wprowadziłem wódkę Krakus, etykietę projektował mi bardzo dobry artysta. Ponieważ pochodził z Podola i miał z tego powodu słabość do koni, więc wsadził Krakusa na konia. Ale to nie zepsuło sprawy. Poza tym ja nie starałem się wiele zmie-

niać. Zmiany w handlu nie przynoszą niczego dobrego... a ja naliczyłem po wojnie dwadzieścia różnych delegacji z kraju w sprawie wódek.

Przyjechali jacyś panowie z Polskiego Monopolu Spirytusowego i z czterech ofert wybrali najgorszą. Gdy w roku sześćdziesiątym pierwszym sprzedaż wódek spadła, przyjechał dr Skrzypczak z Monopolu — znów nasza firma ratowała sytuację. Wtedy wprowadził on nowe gatunki — wspaniały Wiśniak, Krakusa i Luksusową. W pięć lat podnieśliśmy jej sprzedaż o piećset procent.

— Jak to pan zrobił?

— Ceną, reklamą. W Ameryce sprzedaje się rocznie pięć milionów skrzynek wódki Smirnoff — wszyscy uważają, że to wódka o najstarszych recepturach. Więc ja wprowadzając Luksusową dałem przy niej prawdziwą historię: że już w szesnastym wieku polscy zakonnicy zaczęli produkować taką wódkę do celów medycznych, a dopiero w wieku dziewiętnastym Rosjanie, zajmując część Polski, przejęli zasady produkcji. Dałem wielką reklamę Luksusowej — najczystsza ze wszystkich czystych wódek!

— Ale ze Smirnoffem pan nie wygrał?

— Smirnoffa mogłem kupić za pięć tysięcy dolarów. Przywieźli go do Ameryki jacyś ludzie z Rygi na rok przed wojną. Nie mieli pieniędzy na reklamę, plajtowali, chcieli pięć tysięcy dolarów za nazwę i recepturę. Miałem wtedy w firmie szefa Niemca i on zaperzył się, że nie będzie robił Smirnoffa. No i proszę, dzisiaj Smirnoff ma kilkadziesiąt destylatornii na całym świecie. Po wojnie, kiedy wznowiłem współpracę z krajem i zacząłem sprowadzać wódkę, od razu chciałem brać pół miliona skrzynek i urządzić u nas rektyfikację — ale nie, nie zgodzili się. Gdy się ktoś zajmuje handlem musi znać jego

tajemnice. Aktualnie w Ameryce leży kilka tysięcy skrzynek Żubrówki, bo ma za wysoki procent barwnika. Czyja wina? — zarządców, którzy nie określili dokładnie przepisów obowiązujących w Ameryce.

— W notatce biograficznej przeczytałem o paczkach, które posyłał pan do kraju — co to był za biznes?

— Chce pan wiedzieć jak to się zaczęło?

— Oczywiście, spodziewam się dodatku historycznego, do historii przez duże H.

— W latach od trzydziestego ósmego do czterdziestego drugiego byłem prezesem Centrali Towarzystw Polonijnych w Nowym Jorku. Z wybuchem wojny zaczęliśmy organizować zebrania i zbiórki na rzecz polskich żołnierzy, jeńców i uchodźców. Słaliśmy apele do prezydenta USA, do króla Anglii — wszędzie. No i rozpoczęliśmy na szeroką skalę zbiórkę darów. W Domach Narodowych oraz przy parafiach pracowało po kilkadziesiąt kobiet przy zbiórce i wysyłce darów. Nie liczyły one czasu ani wysiłku. Czy pan wie, że organizacja kobieca Polek w Stanach liczyła wówczas przeszło czterdzieści tysięcy członkiń? Do tego dochodziła jeszcze siła PCK. Mieliśmy po całym świecie rozsiane dwa tysięce punktów pomocy. Pracy było wiele i czego też nie robiliśmy!? Do Szwajcarii przybyły dwa dywizjony naszych żołnierzy w letnich rzeczach — a tu szła zima. Udało nam się zdobyć okręty i przesłać przez Włochy ciepłą odzież. Potem załatwiłem sześćdziesiąt tysięcy dolarów dla tych ludzi, którzy zaczęli tam studia — wielu wyszło z tego lekarzy, inżynierów. Wysyłałem cały szpital do Nairobii, bo tam znalazło się trzydzieści pięć tysięcy rodaków — żon i rodzin wojskowych. Dla ciekawości muszę dociec, czy doszły nasze transporty do Polski, kiedy Ameryka nie była jeszcze w stanie wojny z Niemcami i kiedy

wysyłaliśmy przez Francję kilka pociągów rzeczy. W pewnym okresie mieliśmy pięć milionów dolarów rozdzielane z puli National Fund. Żeby to dostać trzeba było złożyć umotywowany wykaz. Robiliśmy to w Centrali przez całą noc, zastanawiając się ile i gdzie nam będzie potrzeba pieniędzy. Pamiętam, że wstawiłem też taką pozycję: sto pięćdziesiąt tysięcy na książki. — Co to za książki? — pytali mnie na zebraniu. Wytłumaczyłem: to książki dla uchodźców, którzy zostali pozbawieni narodowych lektur. Tym sposobem mogliśmy wydać wiele pozycji, z „Chłopami" Reymonta na początku. Rozsyłaliśmy te książki do różnych obozów. Nasze paczki docierały nawet do Murmańska.

— Skąd mieliście rozpoznanie, gdzie kto jest i czego potrzebuje?

— Z Londynu. Rząd Polski informował nas, gdzie są Polacy, ilu ich jest, czego oczekują. Niektórzy zgłaszali się sami. Na przykład w pierwszych latach okupacji Niemcy dostarczali do Polski przesyłki nadchodzące z Portugalii. Więc myśmy posyłali pomoc Polakom w Portugalii, a oprócz tego paczki dla kraju. Lotnicy dołączali do tych paczek pieniądze — robili to w ten sposób, że umówiona rybna firma umieszczała złote funty szterlingi w puszkach jak sardynki. Mówiono mi o pewnej ubogiej Warszawiance, która sprzedawała te paczki stałemu odbiorcy, dopóki — w okresie świąt — nie postanowiła urządzić uczty głodującym swoim dzieciom. Kiedy otworzyła puszkę z sardynkami zrozumiała, dlaczego od pewnego czasu kupiec samorzutnie płacił jej za paczki wyższe ceny.

(Pan Koszarski przeniósł już z New Hyde Park w Nowym Jorku do swojego warszawskiego mieszkania na Mokotowie część różnych drobiazgów i pamiątek. Wśród nich zaplątała się kartka o histo-

rycznej dzisiaj wartości: ręcznie malowana gałązką świerkową, płonąca świeca i opłatek — stemple hitlerowskiej cenzury wojskowej i znaki poczty polowej — Oflag II E/K, Kriegsgefangenenpost. Polski dowódca obozu, ppułk. Ignacy Szpunar, składa na ręce pana Koszarskiego podziękowania dla rodaków w Ameryce za okazywaną pomoc — grudzień, rok 1941).

— Skąd ppłk. Szpunar miał pański adres?

— Widocznie przekazał mu któryś z moich kolegów. Moje nazwisko przecież krążyło po Polsce i w różnych miejscach świata. Nasze paczki z odzieżą, żywnością, przesyłki pieniężne, miały adresatów w Palestynie, Kujbyszewie, w Indiach, Afryce i Meksyku — nawet w Meksyku znajdowała się kolonia internowanych Polaków.

(Pisząc ten wywiad w domu sięgam po tomik „Ekspresu Reporterów" z listopada 1979 r. Dobrze zapamiętałem zamieszczony w nim reportaż Zbigniewa Wojciechowskiego „Otwarte ramiona Meksyku". Reporter dotarł do polskich kolonii Santa Rosa i potem odszukał ślady rozproszonych po świecie 1.500 polskich uchodźców wojennych, którym los nie żałował przygód. W reportażu znajduję przypieczętowanie słów pana Koszarskiego. Reporter pisze o utworzonym w meksykańskiej kolonii biurze, które rozliczało pieniądze otrzymywane z Polonii Amerykańskiej. Na terenie obozu przebywały też — notuje reporter — dwie osoby reprezentujące Polonię Amerykańską).

— A zawodowo czym się pan zajmował w tym czasie?

— Interesy szły dość słabo, zarabiałem tyle, że mogłem się utrzymać. W życiu jednak liczy się satysfakcja, a ja ją miałem. Jednemu ze znajomych półkowników wpadła w ręce niemiecka tak zwana

Czarna Księga — hitlerowcy wypisali tam swoje plany po zdobyciu Nowego Jorku. Umieszczone tam były trzy polskie nazwiska ludzi do powieszenia, a moje w tej trójce. To z powodu tych paczek i z powodu półgodzinnego antyhitlerowskiego programu, jaki prowadziłem raz w tygodniu w radio.

— Wiele osób pamięta amerykańskie dolary i paczki, wspomina je w różnych publikacjach, ale zawsze jest to bezosobowe. Dobrze więc się stało, że rozmawiam z kimś, kto te paczki sznurował własnymi rękami.

— W przenośni mówiąc. Ja tę akcję tylko koordynowałem. Naprawdę była to wieloletnia, bezinteresowna praca tysięcy kobiet, bezinteresowna ofiarność setek tysięcy osób z Polonii Amerykańskiej. To było wielkie świadectwo jedności w trudnej chwili naszych dziejów.

— Panu przypisuje się także powojenne paczki.

— Tak, to już był biznes, to była firma. Miałem wprawę w działaniu i wiedziałem, że coś takiego nadal jest potrzebne. Utworzyłem spółkę Polisch-American Traiding, miała pięć filii w największych polskich skupiskach — pracowało na jej rzecz stu agentów. Musiałem jeszcze przekonać Amerykę, że moje paczki nie idą na Syberię. Dawałem dwie obok siebie fotografie w gazetach — imienne zamówienie wystawione w Stanach i pokwitowanie imienne podpisane w Polsce. Od zamówienia paczki do dostarczenia jej w Polsce upływało siedem dni — to były rekordowe dostawy.

— Zawsze miał pan kilka firm.

— Tak, po wojnie, jako jeden z pierwszych, zaimportowałem z Polski różne towary; leki, dywany, srebra i marmury, bursztyny. Pierwszy zaimportowałem polskie cukierki, dwadzieścia ton — nazywały się Nina, od imienia mojej żony.

— Zajmował się pan także produkcją płyt gramofonowych i — ostatnio — dystrybucją polskich filmów.

— Zasadniczo to mi się nie opłacało, ale chciałem pokazać polskie nowe filmy. Zorganizowałem trzysta seansów w największych kinach nowojorskich. W kinach przed seansem stawiałem stół z napisem, aby ci, którzy chcą stale być zawiadamiani o polskich filmach składali swoje adresy — w mojej kartotece znalazło się trzydzieści tysięcy nazwisk. Robiłem też wystawy polskich plakatów, plakatów LOT-u. Dawałem pokazy filmów krajoznawczych z Polski. Niektórzy w Ameryce mieli mi za złe to robienie propagandy Polsce. Ale ja zawsze w życiu robię to, co uważam za dobre.

— Zaskakująca jest wszechstronność pańskiego działania.

— Po prostu tak trzeba. Dla mnie natomiast nie do przyjęcia jest fakt, że jedna centrala handlowa wyłącznie decyduje o zawarciu umowy na eksport z Polski. Ja sprzedając polskie alkohole w Ameryce, jednej firmie dawałem Luksusową, a drugiej Wyborową — niech z sobą rywalizują, niech każda z nich chce mieć lepsze rezultaty. Węgrzy oprócz central handlowych, zajmujących się określonym importem, mają jedną centralę, przez którą kupić można absolutnie wszystko. Bez konkurencji dochodzi do różnych nieprawidłowości. Gdyby taka centrala istniała w Polsce, mógłbym na przykład ominąć Agros wtedy, gdy on z niezrozumiałych powodów ograniczał mnie w imporcie wódek.

— Wspomniał pan, że osiedlił się pan w Warszawie, aby być bliżej spraw, pomagać w interesach. Co chciałby pan teraz, z miejsca działania w Warszawie, załatwić? Jaki interes?

— W Polsce osiedliło się cztery tysiące amerykańskich rencistów. A wie pan ilu Włochów z Ameryki wróciło na rentę do swojego ojczystego kraju?... siedemdziesiąt pięć tysięcy. Gdyby w Polsce zbudować mieszkania dla rencistów, w ciągu dwudziestu lat mógłbym ściągnąć tu około stu tysięcy osób. Dalej obliczenie jest proste: wynajem mieszkań przyniósłby na czysto czterysta milionów dolarów rocznie. Doliczam przeciętnie dwie osoby rocznie, które odwiedzają swoich krewnych — przynosi to dwieście tysięcy osób i dalsze dwieście milionów wpływu.

— Spodziewa się pan, że aż tyle osób chciałoby osiedlić się w Polsce?

— Ostatnio byłem w Brooklynie, pięćset osób z Klubu „Krakus" chciałoby przyjechać od razu. Ich nie stać na kupno domów, ale oni by za mieszkania zapłacili z góry i czynsz także za dwa lata z góry.

— Rozpoczął pan w tej sprawie już jakieś kroki?

— Tak, napisałem dwa listy. Towarzystwo Polonia odpisało — po konsultacjach — że mój szeroki program przekracza aktualne możliwości budownictwa w kraju. Ale przecież polskie firmy budowlane szukają dolarów budując za granicą — ja proponuję interes, w którym te firmy zyskują dolary, budując w kraju za złotówki. Mając kapitał za granicą mogłyby znacznie ułatwić sobie zakup materiałów, maszyn — to proste, prawda?

— Sprawy proste bywają u nas najtrudniejsze.

— Chciałbym także spróbować przekonać kompetentne osoby, że sprawy importu z Polski często lokowane są w niewłaściwych rękach — u ludzi, którzy tendencyjnie blokują interesy z Polską. Dam panu też przykład z drugiej strony: firma Federation w Detroit zebrała od udziałowców dwa miliony

dolarów na handel z Polską i przez dwa lata trzymała te pieniądze, w końcu musiała zwrócić je ludziom, gdyż nie otrzymała żadnych ofert z Polski.

— Widzę, że odwróciły się role: kiedyś w Ameryce pilnował pan spraw polskich, powołując się na swoje polskie pochodzenie, teraz w Polsce pilnuje pan spraw polskich, powołując się na swoje amerykańskie obywatelstwo i amerykańskie znajomości... W Polsce jest pan z żoną, dzieci zostały w Stanach Zjednoczonych?

— Tak, tam układają swoje życie.

— Co robią?

— Najstarszy, Tadeusz Kazimierz, urodzony dokładnie podczas parady Pułaskiego w roku czterdziestym pierwszym, ma dużą firmę ogłoszeniową i public relations. W tej firmie także jest polska działka: syn między innymi pracuje dla LOT-u i stara się robić public relations dla Polski w dobrej prasie amerykańskiej. Młodszy syn, Richard, ma doktorat i jest historykiem filmu, krytykiem filmowym. Z większych rzeczy ma na swoim koncie dwutomowe dzieło wydane poza Ameryką w kilku krajach „Hollywood directors". Obecnie jest dyrektorem programu historycznego Fundacji Filmowej i Telewizyjnej Astoria w Nowym Jorku. I tam uprawia on polską działkę, pokazując polskie filmy, polskich artystów. Córka Maria skończyła Hofstraf Uniwersity w wyrobie biżuterii i jest kierowniczką dużego sklepu z wyrobami artystycznymi. Elisabeth, najmłodsza, ukończyła Wydział Grafiki Uniwersytetu Massachussets, a teraz studiuje dalej na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie — już drugi rok siedzi w Polsce.

— I co dalej zamierza? Wyjedzie z polskim dyplomem? Zostanie?

— Nie wiem tego ani ja, ani moja żona.

— Widzę, że jest to pytanie, które będę musiał postawić pani Elisabeth osobiście; co skłoniło osobę urodzoną w roku 1955, nieomal nie znającą języka polskiego i nie oglądającą przedtem Polski, do takiego wyboru? Panu zaś dziękuję za rozmowę.

Jan II Wywiadowca

Spis treści

EKSPRES REPORTERÓW



W nowym roku 1981 zapowiedzieli swój udział w naszej serii „Ekspresu Reporterów" po raz pierwszy:

Lesław Bartelski, Zbigniew Flisowski, Janusz Głowacki, Waldemar Łysiak, Krzysztof Kąkolewski, Barbara Seidler, Karol Szyndzielorz, Zygmunt Wójcik,

Jak każdego roku wystąpią w „Ekspresie Reporterów" sławy i nadzieje polskiego reportażu.
Tadeusz Mocarski pióro poety zamienia na długopis reportera, walcząc o patent rolnika.
Jakub Lisiecki rozszyfrowuje znane tylko wtajemniczonym środowisko dynksiarzy.

Szukajcie „Ekspresu Reporterów" w księgarniach i kioskach „Ruchu"

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
WARSZAWA 1981

Wydanie I. Nakład 100 000 + 350 egz.
Objętość: ark. wyd. 6,83, ark. druk. 6,73
Oddano do składania w październiku 1980 r.
Skład, druk i oprawa: PZGraf. w Krakowie,
ul. Wielopole 1. Zam. 2452/80. O-126
Nr prod. XII-5/2840/79. Cena zł 20,—
Tomik 1/81.

· 2 · 3 · 4 · 5 · 6 · 7 · 8 · 9 · 10 · 11 · 1

GWIAZDA EKSPRESU REPORTERÓW

w tym tomiku: KAZIMIERZ KOSZARSKI



zł 20,–